

ROGER ZELAZNY

ALEJA POTEPIENIA
(DAMNATION ALLEY)

Tuż obok zanurkowała mewa. Przez chwilę wydawało się, że zawisła nieruchomo w powietrzu na szeroko rozpostartych skrzydłach.

Czart Tanner cisnął w nią niedopałkiem cygara i zaliczył celne trafienie. Ptak wydał ochryply krzyk, wzbił się gwałtownie w górę i czy wrzasnął ponownie, tego Tanner nigdy już się nie dowiedział.

Ptak odleciał.

Na tle fioletowego nieba kołysało się jedno jedyne siwe piórko. Spychane wiatrem poza krawędź urwiska, opadało na ocean, wirując wokół własnej osi. Do jednostajnego wycia wichru i grzmotu tłukących o brzeg fal dołączył się chichot zadowolonego z siebie Tannera. Spuścił nogi z kierownicy motocykla, złożył kopniakiem podpórkę. Ryknął zapuszczany silnik.

Brał wolno pochyłość terenu, dopóki nie dotarł do szlaku, tam przyspieszył i kiedy wpadał na autostradę strzałka licznika stała już na pięćdziesiątce.

Miał całą drogę dla siebie, pochylił się więc nad kierownicą i gnał przed siebie, dociskając do dechy pedał gazu. Na oczy nasunął gogle i oglądał świat przez szkła koloru ekskrementów, co było mniej więcej sposobem, w jaki nań patrzył także bez nich.

Z jego kurtki zniknęło całe stare żelastwo. Stracił swastykę oraz, nad czym bolał najbardziej, uniesiony ku górze kciuk. Zerwali mu również jego emblemat. Może zdoła zdobyć taki w Tijuanie i poderwie jakąś dziwkę, która mu go naszyje i... Nie. Dość tego. Z tamtym już koniec. Zdradziłby się i nie doczekał końca dnia. Zrobi tak: sprzeda Harleya, czysty i nie zwracający uwagi przedostanie się wybrzeżem na południe i zobaczy, co można zdziałać w drugiej Ameryce.

Zjechał na luzie z jednego wzgórza i z ogłuszającym rykiem silnika wdarł się na następne. Mknął autostradą, mijając po drodze Laguna Beach, Capistrano Beach, San Clemente i San Onofre. Zatrzymał się w Oceanside, gdzie zatankował, a potem pojechał dalej przez Carisbad i wszystkie te zapomniane, małe plaże, zapelniające wybrzeże przed Solana Beach Del Mar. Czekali na niego na peryferiach San Diego.

Spostrzegł blokadę drogi i zawrócił. Nie wierzyli własnym oczom, że przy prędkości jaką rozwijał, zdołał tego dokonać tak szybko, faktem jednak było, iż teraz oddalał się od nich. Usłyszał strzały, ale nie zatrzymywał się. Potem doszedł go jęk syren.

W odpowiedzi nacisnął dwukrotnie swój klakson i jeszcze niżej pochylił się nad kierownicą. Pędząc tak z wiatrem w zawody, zastanawiał się, czy nawiązali już kontakt radiowy z kimś, oczekującym go na trasie.

Uciekał dziesięć minut i nie mógł zgubić pościgu. Nie udało się to również po piętnastu minutach.

Wspiął się na szczyt kolejnego wzgórza i daleko przed sobą dostrzegł drugą blokadę. Wzięli go w dwa ognie.

Rozejrzał się za jakąś boczną drogą. Nie było żadnej.

Pędził więc dalej, kierując się prosto na drugą blokadę. Może uda się ją sforsować.

Niedobrze!

Samochody ustawione były jeden za drugim w poprzek całej drogi. Stały również na poboczach.

Zahamował w ostatniej chwili i, gdy prędkość spadła do rozsądnych granic, poderwał w gore przednie koło, obrócił motocykl na tylnym i dodając gazu pomknął na spotkanie swych prześladowców.

Nadjeżdżało ich sześciu, a za plecami rozlegało się już wycie nowych syren.

Przyhamował ponownie, zjechał na lewą stronę drogi i kopiać pedał gazu zeskoczył z siodełka. Harley pojechał dalej sam, a on rąbnął o ziemię, potoczył się po niej, zerwał na nogi i zaczął uciekać.

Biegając, słyszał piski opon, słyszał łomot zderzenia, ale nie oglądał się za siebie. Strzelanina przybrała teraz na sile. Chcieli go żywego i celowali nad jego głową, nie wiedział jednak o tym.

Po piętnastu minutach przyparli go do skalnej ściany i otoczyli wachlarzem. Kilku miało karabiny, ale żaden nie był skierowany na niego.

Rzucił na ziemię łyżkę do opon i uniósł ręce w gore.

- Macie ją, obywatele - powiedział. - Zabierzcie ją sobie.

Tak też zrobili.

Potem skuli mu ręce kajdankami i zaprowadzili do pozostawionych na drodze samochodów. Wepchnęli go na tylne siedzenie jednego z nich, a po obu jego stronach zajęli miejsca funkcjonariusze policji. Jeszcze jeden usiadł z przodu obok kierowcy i ten trzymał na kolanach karabin z upiłowaną lufą.

Kierowca zapuścił silnik, wrzucił bieg i zawracając ruszył drogą numer 101 na północ.

Mężczyzna z karabinem odwrócił się i patrzył na Tannera przez szkła z podwójną ogniskową, za którymi jego oczy, kiedy pochylił głowę, wyglądały jak wypełnione zielonym piaskiem klepsydry. Gapił się tak może z dziesięć sekund, a potem powiedział:

- To było głupie z twojej strony, Tanner.

Czart Tanner patrzył na niego bezmyślnie, więc mężczyzna dodał:

- Bardzo głupie, Tanner.

- O, nie wiedziałem, że pan mówi do mnie.

- Przecież patrzę na ciebie, synu.

- Ja też na pana patrzę. Halo, tam.

- Szkoda, że musimy dostarczyć go w dobrej formie, co? - odezwał się nie odrywając oczu od drogi kierowca. - Rozwalił przecież tym swoim cholernym motocyklem drugi wóz.

- Może jeszcze mieć wypadek - powiedział mężczyzna siedzący po lewej ręce Tannera. - Dajmy na to, może upaść i złamać sobie ze dwa żebra. Mężczyzna z prawej nie odezwał się, ale człowiek z karabinem wolno potrząsnął głową.

- Nie może, chyba że próbowaliby ucieczki - powiedział. - L. A. chce go w dobrej kondycji.

- Czemu próbowalesz nawiać, chłopie? Mogłeś się spodziewać, że i tak cię złapiemy. Tanner wzruszył ramionami.

- Dlaczego mnie przyskrzyniliście? Przecież nic nie zrobiłem. Kierowca zachichotał.

- Właśnie dlatego - powiedział. - Nic nie zrobiłeś, a miałeś coś zrobić, pamiętasz?

- Nic nikomu nie obiecywałem. Ułaskawili mnie i wypuścili z mamra.

- Masz kiepską pamięć, dziecino. Obiecałeś coś Państwu Kalifornijskiemu, kiedy cię wczoraj zwalniali. Na załatwienie swoich spraw miałeś już więcej niż dwadzieścia cztery godziny, o które prosiłeś. Jak chcesz, to możesz im powiedzieć "nie" i zarobić cofnięcie amnestii. Nikt cię nie zmusza. Potem możesz spędzić resztę życia robiąc małe kamyczki z większych. Mniej nie moglibyśmy ci załatwić. Słyszałem zresztą, że mają już kogoś na twoje miejsce.

- Dajcie mi papierosa - powiedział Tanner.

Mężczyzna z prawej przypalił papierosa i podał go Tannerowi.

Przyjął go podnosząc obie ręce. Palił, strząsając popiół na podłogę.

Pędzili autostradą, a kiedy przejeżdżali przez miasteczka, lub natykali się na wzmożony ruch, kierowca uruchamiał syrenę i na dachu samochodu zaczynało migotać czerwone światło. Wtedy rozlegało się również wycie syren dwóch wozów patrolowych jadących za nimi. Przez całą drogę do L. A. kierowca ani razu nie dotknął hamulca i co kilka minut łączył się przez radio z bazą.

Powietrzem targnął nagle grzmot, który można by porównać do odgłosu towarzyszącego przekraczaniu bariery dźwięku, i z góry runęła na nich lawina pyłu i żwiru. W prawym dolnym rogu przedniej, kulo odpornej szyby pojawiła się maleńka rysa. O dach i maskę samochodu bębniły kamienie wielkości pieści. Opony chrzęściły na żwirze zaścielającym teraz całą nawierzchnię drogi. Kurz wisiał w powietrzu niczym gęsta mgła, ale wyjechali z niego po dziesięciu sekundach.

Mężczyźni w samochodzie pochylając się patrzyli z napięciem w górę.

Niebo przybrało barwę purpury, przecinały je czarne linie przesuwające się z zachodu na wschód. Pęczniały, zwęzły się, poruszały na boki, to znów zlewały się ze sobą. Kierowca już wcześniej włączył światła.

- Zanosi się na coś poważniejszego - powiedział mężczyzna z karabinem. Kierowca kiwnął głową.

- Dalej na północ wygląda to jeszcze gorzej - stwierdził.

Gdzieś wysoko w górze rozległo się zawodzenie, a czarne pasma poszerzały się nieustannie. Dźwięk przybrał na sile i, zatracając swój śpiewny charakter, przerodził się w jednostajny ryk.

Pasma zwały się ze sobą i niebo pociemniało, jak podczas bezgwiazdnej, bezksiężycowej nocy. Pył opadał wokół gęstymi chmurami. Od czasu do czasu słyszeli łomot, świadczący o trafieniu samochodu przez większy odłamek skały.

Kierowca przełączył reflektory na światła terenowe, ponownie uruchomił syrenę i pędził przed siebie na złamanie karku. W górze, nad nimi, jęk syreny i ryk nieba walczyły ze sobą o prymat, a daleko na północy, pulsując, zaczęła się rozlewać niebieska zorza.

Tanner skończył papierosa i mężczyzna podał mu następnego. Palili teraz wszyscy.

- Masz szczęście, że cię schwytaliśmy, chłopie - odezwał się mężczyzna z lewej. - Co byś powiedział, gdybyś tak przyszło pruć teraz przez ten farsz na swoim motocyklu?

- Nic. Lubię to robić - odparł Tanner.

- Ty masz chyba nierówno pod sufitem.

- Nie. Już mi się to zdarzało. To by nie było pierwszy raz.

Kiedy dojeżdżali do Los Angeles, niebieska zorza zalewała już pół nieba, a ono samo miało odcień różowy i przecinały je smugi żółtego dymu, sięgające, niczym nogi pająka, daleko na południe. Ryk był tak ogłuszający, iż wydawało się, że powietrze wypełnia jakaś gęsta substancja, napierająca na bębunki uszu i powodująca mrowienie skóry. Kiedy wysiedli z samochodu i przecinali dziedziniec, kierując się w stronę wielkiego, podpartego kolumnami budynku o przyozdobionej fryzmem ścianie frontowej, musieli krzyżeć, aby wzajemnie się słyszeć.

- Szczęście, że zdążyliśmy - wrzeszczał mężczyzna z karabinem. - Prędzej i przyspieszając kroku dopadli do schodów.

- Teraz może się zacząć w każdej chwili - krzyknął kierowca.

II

Kiedy wjeżdżali na dziedziniec, igrające na ścianach refleksy przesuwałej się po niebie zorzy upodobiały budynek do lodowej rzeźby, rzucającej wokół zimne cienie. Teraz znów przypominał on bryłę wosku, gotową stopnieć w nagłym podmuchu ciepła.

Twarze mężczyzn i skóra na ich dłoniach nabrały bezkrwistego, trupiosinego koloru. Wbiegli szybko po schodach. Człowiek z patrolu stanowego wpuścił ich do środka przez furtkę widniejącą w murze tuż obok ciężkiej, podwójnej, metalowej bramy, stanowiącej główne wejście do budynku. Na widok Tannera, strażnik odpiął kaburę. Szybko zatrzasnął za nimi drzwi, blokując je łańcuchem.

- Którędy? - spytał człowiek z karabinem.

- Drugie piętro - odparł strażnik, wskazując ruchem głowy schody. - Kiedy wejdziecie na górę, cofnijcie się korytarzem do samego końca. Jest tam duże biuro.

- Dzięki.

Ryk szalejących na zewnątrz żywiołów docierał tutaj znacznie stłumiony, a sztuczne oświetlenie przywracało postaciom i przedmiotom ich normalny wygląd.

Wspięli się krętymi schodami na drugie piętro i poszli korytarzem prowadzącym w głąb budynku. Przystając przed ostatnimi drzwiami, człowiek z karabinem skinął na kierownicę.

- Zapukaj.

Drzwi otworzyła kobieta. Zaczęła coś mówić, ale na widok Tannera przerwała i odstała na bok, przytrzymując drzwi.

- Wejdźcie - powiedziała, czyniąc zapraszający ruch głową.

Mijając ją wkroczyli do biura. Kobieta nacisnęła wmontowany w jej biurko przycisk.

- Tak, Mrs. Fiske? - spytał jakiś głos.

- Są tu z tym człowiekiem, sir.

- Proszę ich wprowadzić.

Podeszła do wyłożonych ciemną boazerią drzwi w głębi pokoju i otworzyła je przed przybyłymi. Weszli do gabinetu. Siedzący za biurkiem przykrytym szklaną taflą, krepy mężczyzna odchylił się na oparcie fotela. Splatając na karku dłonie o krótkich palcach, obrzucił ich spojrzeniem oczu o jeden zaledwie ton ciemniejszych od jego siwej czupryny. Gdy przemówił, głos miał cichy i nieco chrapliwy.

- Usiądź - zwrócił się do Tannera. - A wy poczekajcie na zewnątrz.

- Mister Denton, ten gość jest niebezpieczny - odezwał się człowiek z karabinem, gdy Tanner siadał na krześle odsuniętym na pięć stóp od biurka.

Wszystkie trzy okna gabinetu zasłonięte były żaluzjami i chociaż mężczyźni nie widzieli co dzieje się na zewnątrz, to mogli domyślać się jednak potęgi szalejących tam furii. Przez pokój przeszedł nagle dźwięk przypominający serie z karabinu maszynowego.

- Wiem.

- No właśnie. Na wszelki wypadek skuliśmy go kajdankami. Ma pan pistolet?

- Mam.

- No to dobrze. Będziemy obok. Wycofali się z gabinetu.

Dopóki drzwi nie zamknęły się za nimi, dwaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem. Wreszcie człowiek nazwiskiem Denton odezwał się:

- Jak. do diabła, brzmi naprawdę twoje imię? Nawet w aktach...

- Czart - wpadł mu w słowa Tanner. - Mam na imię Czart. Byłem siódmym bachorem w naszej rodzinie i kiedy przyszedłem na świat, akuszerka uniosła mnie w górę i spytała starego jakie imię dla mnie wybrał, na co tatuś zaklął "A, Czarta tam" i wyszedł trzaskając drzwiami. No i tak mi wpisała do świadectwa urodzin. Opowiadał mi o tym brat. Sam nigdy nie widziałem mojego staruszka, nie mogłem więc go zapytać jak to było naprawdę. Tego samego dnia wyciągnął kopyta. Myślę jednak, że tak mogło być.

- A więc całą waszą siódemkę wychowywała matka?

- Nie. Matka uderzyła w kalendarz w dwa tygodnie później i różni krewni nas przygarnęli.

- Rozumiem - powiedział Denton. - Ciągłe jeszcze masz prawo wyboru. Decyduj się. Będziesz próbował, czy nie?

- A kim pan w ogóle jest? - spytał Tanner.

- Jestem Inspektorem Ruchu Drogowego na Państwo Kalifornijskie.

- Nie rozumiem co Zarząd Dróg może mieć wspólnego z tą aferą?

- Jestem koordynatorem całej akcji. Równie dobrze mógłby nim być Naczelny Chirurg, czy Naczelny Poczmiistrz, ale większość posunięć z nią związanych leży w zakresie moich kompetencji. Ja najlepiej znam się na sprzęcie. Ja najlepiej mogę ocenić szansę...

- A jakie są szansę? - przerwał mu Tanner. Denton po raz pierwszy spuścił oczy.

- No cóż, to ryzykowne przedsięwzięcie...

- Nikt jeszcze tego nie dokonał, nie licząc faceta, którzy przebył te trasę, żeby przynieść nam wieści. Ale on już nie żyje. Jak na takiej podstawie może pan mówić o jakichś szansach?

- Wiem - powiedział wolno Denton. - Myślisz, że to robota dla samobójcy i chyba masz rację. Wysyłamy trzy samochody, po dwóch kierowców w każdym. Jeśli któryś z nich zdoła zbliżyć się przynajmniej na dostateczną odległość, to wysyłane przez niego sygnały radiowe mogą posłużyć za wskazówkę kierowcy z Bostonu. Nikt cię nie zmusza, żebyś jechał, ale sam wiesz.

- Wiem. Mogę sobie w zamian spędzić resztę życia w mamrze.

- Zabiłeś troje ludzi. Mogłeś dostać karę śmierci.

- Ale nie dostałem, a więc nie ma o czym gadać. Niech pan posłucha. Mister. Nie chce ani umierać, ani nie odpowiada mi ta druga ewentualność.

- Jedziesz, albo nie jedziesz. Decyduj się. Pamiętaj tylko, że jeśli się tego podejmiesz i uda ci się dojechać, wszystko zostanie ci puszczone w niepamięć i możesz sobie iść gdzie chcesz. Państwo Kalifornijskie zapłaci nawet za ten motocykl, który sobie przywłaszczyłeś, a potem rozbiłeś, nie wspominając już o uszkodzonym wozie policyjnym.

- Wielkie dzięki - odparł Tanner.

Wiatr zawodził za ścianą, a pokój wypełniał nieustający klekot okiennic.

- Jesteś bardzo dobrym kierowcą - podjął po chwili Denton. - Prowadziłeś chyba każdy pojazd, który można prowadzić. Ścigałeś się nawet. Kiedyś, gdy jeszcze bawiłeś się w kontrabandę, robiłeś co miesiąc wypad do Salt Lake City. Nawet dzisiaj niewielu jest kierowców, którzy się na to odważą.

Czart Tanner uśmiechnął się na wspomnienie jakiegoś epizodu z tamtych czasów.

- ...Oprócz tego, byłeś jedynym człowiekiem, który dostarczał pocztę do Albuquerque. Nawiasem mówiąc, było to jedyne uczciwe zajęcie w twoim życiu. Od kiedy cię wylali, dokonało tego niewielu.

- To nie było z mojej winy.

- Byłeś też najlepszy w wypadzie do Seattle - ciągnął dalej Denton. - Tak twierdzi twój zwierzchnik. Z tego co powiedziałem wynika, że ze wszystkich, których udało nam się zwerbować, ty prawdopodobnie masz największą szansę przedostania się przez kontynent. Dlatego do tej pory pobłażaliśmy ci, ale nie możemy już czekać dłużej. Tak albo nie. I to teraz. Jeśli to będzie tak, wyruszasz przed upływem godziny.

Tanner uniósł skute kajdankami dłoń i uczynił nimi gest w kierunku okna.

- W te całą bryndze? - spytał.

- Te samochody mogą stawić czoła burzy - odparł Denton.

- Człowieku, tyś oszalał.

- Nawet w tej chwili, gdy my tu tracimy czas na próżne dyskusje, tam umierają ludzie

powiedział Denton.

- No to paru mniej, czy paru więcej nie zrobi wielkiej różnicy. Nie możemy zaczekać do jutra?

- Nie! Człowiek oddał życie, aby przynieść nam wezwanie o pomoc! Musimy przedostać się jak najszybciej przez kontynent i to teraz. Później nie będzie już po co! Burza, nie burza, samochody wyruszają teraz! Twoje zdanie w tej sprawie nic mnie nie obchodzi! Chce od ciebie usłyszeć tylko jedno słowo, Czart: w którym wozie pojedziesz?

- Chciałbym coś zjeść. Nie jadłem...

- Żywność jest w samochodzie. Jaka jest twoja decyzja? Czart gapił się na ciemne okna.

- W porządku - odezwał się w końcu. - Pojadę dla pana Aleją Potępienia. Ale nie ruszę się stąd bez świstka z odpowiednim tekstem.

- Mam go tutaj.

Denton otworzył szufladę i wydobył z niej grubą kartonową kopertę, a z koperty wyciągnął dokument opatrzony Wielką Pieczęcią Państwa Kalifornijskiego. Wstał, wyszedł zza biurka i wręczył go Tannerowi.

Czart studiował dokument przez kilka minut, wreszcie odezwał się.

- Tu jest napisane, że jeśli dotrę do Bostonu, zostanę objęty pełną amnestią i wszystkie czyny kryminalne, jakich kiedykolwiek dopuściłem się w granicach Państwa Kalifornijskiego ulegną przedawnieniu.

- Zgadza się.

- Czy przedawnienie dotyczyć będzie również tych przestępstw, które nie wyszły jeszcze na jaw, a ktoś się ich potem dokopie?

- Przecież jest tam wyraźnie napisane. Czart - "wszystkie czyny kryminalne".

- W porządku. Wygrałeś, grubasku. Zdejmij mi teraz te bransoletki i pokaż mi mój samochód. Człowiek zwany Demonem wrócił na swoje miejsce za biurkiem.

- Pozwól Czart, że coś ci przedtem powiem - odezwał się. - Jeśli będziesz próbował urwać się gdzieś po drodze, to wiedz, że pozostałym kierowcom wydano odpowiednie polecenia i zgodzili się do nich stosować. Otworzą ogień i zamienią cię w kupkę popiołu. Pojąłeś?

- Pojąłem - powiedział Tanner. - Przypuszczam, że w razie czego mam ich potraktować w podobny sposób?

- Dobrze przypuszczasz.

- Nieźle. To może być zabawne.

- Wiedziałem, że ci się spodoba.

- Nawet nie wie pan jak. Przekona się pan, jak mnie pan rozkuje.

- Nie zdejmę ci kajdanek, dopóki nie powiem co o tobie myślę.

- W porządku, jeśli chce pan tracić czas obrzucając mnie wyzwiskami, gdy tam umierają ludzie...

- Zamknij się! Nic cię oni nie obchodzą i dobrze o tym wiesz! Chce ci tylko powiedzieć, że dla mnie jesteś najpodlejszym, najbardziej zasługującym na pogardę typem, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Zabijałeś mężczyzn i gwałciłeś kobiety. Raz, tak sobie, dla zabawy, wyłupiłeś człowiekowi oczy. Byłeś trzykrotnie stawiany w stan oskarżenia za ćpanie narkotyków i dwukrotnie za stręczycielstwo. Jesteś alkoholikiem i degeneratem i pewien jestem, że nie kapałeś się od dnia narodzin. Ty i twoja banda terroryzowaliście przyzwoitych ludzi, gdy po wojnie próbowali ułożyć sobie życie na nowo. Grabiłeś ich i napadałeś. Pod groźbą użycia przemocy fizycznej wymuszałeś od nich pieniądze i środki niezbędne do życia. Żałuję, że tamtej nocy nie zginąłeś w Wielkiej Obławie razem z całą resztą. Ty nie jesteś człowiekiem, a jeśli już, to tylko z biologicznego punktu widzenia. Masz wielki, zimny pryszcz w miejscu, gdzie inni ludzie mają coś, co pozwala im żyć zgodnie w społeczeństwie i być sąsiadami. Jediną zaletą, że tak to nazwę, którą obdarzyła cię natura jest to, że twój refleks jest może nieco szybszy, twoje mięśnie trochę silniejsze, twoje oko odrobinę bystrzejsze niż u każdego z nas. Możesz więc sięść za kierownicą i jechać przez wszystko, przez co prowadzi jakaś droga. To jest właśnie przyczyna, dla której Państwo Kalifornijskie skłonne jest wybaczyć ci twoje rozbewstwienie, pod warunkiem jednak, że wykorzystasz tę jedyną swoją zaletę do pomagania ludziom, a nie do szkodzenia im. Ja tego nie popieram. Nie chce być zależny od ciebie, bo ty nie jesteś facetem, na którym można polegać. Życzę ci, żebyś zginął w tej akcji i chociaż mam nadzieję, że któryś z was dojedzie do celu, to jednocześnie spodziewam się, że to nie będziesz ty. Nienawidzę twojej cholernej gęby. Masz już teraz swoje ulaskawienie. Samochód gotowy. Chodźmy.

Denton wstał, prostując się. Był o głowę niższy od Tannera i ten zachichotał, spoglądając na inspektora z góry.

- Dojadę - powiedział. - Jeśli ten obywatel z Bostonu przejechał i umarł, to ja przejadę i będę żył. Robiłem wypadki aż do Missus Hip.

- Kłamiesz.

- Nie, nie kłamie. A jeśli kiedyś przekona się pan, że to prawda to niech pan pamięta o tym papierku, który mam w kieszeni - "każdy czyn kryminalny" i tak dalej. Nie było łatwo, a poza tym miałem trochę szczęścia, ale naprawdę dotarłem tak daleko i jak panu zapewne

wiadomo, nikt inny nie może pochwalić się takim wyczynem. Zdaje się, że to prawie połowa drogi. Jeśli więc zrobiłem jedną połówkę, potrafię przebyć i drugą.

Ruszyli do drzwi.

- Nie mówię, ani nie myślę tego szczerze - powiedział jeszcze Denton - ale powodzenia, chociaż nie przez wzgląd na ciebie.

- Jasne, wiem. Denton uchylił drzwi.

- Rozkujcie go - powiedział do oczekujących mężczyzn. -Jedzie. Człowiek z karabinem oddał broń mężczyźnie, który częstował Tannera papierosami i sięgnął do kieszeni po klucz. Znalazłszy go otworzył kajdanki i cofając się zawiesił je sobie u pasa.

- Pójdę z wami - oznajmił Denton. - Garaże są na dole.

Wyszli z biura. Mrs. Fiske otworzyła torebkę, wyjęła z niej różaniec i pochyliła głowę. Modliła się za Boston. Modliła się za dusze zmarłego kuriera. Dorzuciła nawet dwa pacierze na intencje Czarta Tannera.

III

Zeszli do podziemi. Denton sprowadził ich na trzeci poziom i tam Tanner ujrzał trzy gotowe do drogi wozy; zauważył też pięciu mężczyzn siedzących na ławeczkach ustawionych wzdłuż ściany. Rozpoznał jednego z nich.

- Denny - powiedział - chodź no tu.

Z ławki podniósł się szczupły młodzieniec o jasnych włosach i obracając w dłoniach kask motocyklisty, podszedł do Tannera.

- Co ty, do diabła, wyprawiasz? - spytał go Tanner.

- Jestem drugim kierowcą w wozie numer trzy.

- Masz własną stację obsługi i możesz kichać na wszystko. Co ci przyszło do głowy?

- Denton zaproponował mi pięćdziesiąt patyków - odparł Denny. Czart odwrócił wzrok.

- Rzuć to! Co ci po forsie, jeśli zginiesz?

- Potrzebuje pieniędzy.

- Po co?

- Chcę się ożenić. Mam dużo wydatków.

- Myślałem, że dobrze ci się powodzi.

- Zarabiam nieźle, ale chciałbym kupić dom.

- Czy twoja dziewczyna wie w co się pakujesz?

- Nie.

- Tak myślałem. Słuchaj, ja muszę jechać - nie mam innego wyjścia. Ty nie musisz...

- To moja sprawa.

- ...czekaj, chce ci coś powiedzieć. Jedź do Pasadeny w to miejsce, gdzie bawiliśmy się zawsze, będąc dziećmi. Wiesz o co mi chodzi? Te skałki i trzy wysokie drzewa, pamiętasz?

- Jasne, że pamiętam.

- Obejdź dookoła środkowe drzewo. Wyryłem na pniu swoje inicjały. Stamtąd, gdzie je znajdziesz, odlicz siedem kroków i kop na jakieś cztery stopy. Kapujesz?

- Jasne. Co tam jest?

- Tam jest spadek po mnie. Znajdziesz taką starą, solidną skrzynkę; teraz cała już chyba przerdzewiała. Rozwal ją. Będzie pełna wełny drzewnej i będzie w niej jeszcze sześciocalowy kawałek rurki. Rurka jest nagwintowana i z obu stron ma nakręcone pokrywki.

Wewnątrz znajduje się jakieś pięć patyków, zwinięte w rulonik. Wszystkie banknoty są czyste.

- Po co mi to mówisz?

- Bo są teraz twoje - odparł Tanner i wymierzył Danny'emu cios w szczękę. Gdy Denny upadł. Czart, zanim policjanci dopadli go i odciągnęli od leżącego, kopnął chłopaka raz, drugi i trzeci.

- Głupcze - krzyknął Denton. - Ty cholerny głupcze!

- Dobra, dobra - rzucił Tanner - żaden mój brat nie pojedzie Aleją Potępienia, dopóki jestem w pobliżu i mogę mu tak przyłożyć, żeby wypadł z gry. Lepiej znajdź pan szybko innego kierowcę, bo ten ma połamane zębra. Albo jeszcze lepiej - pojedę sam.

- No to pojedziesz sam - zdecydował Denton - bo nie możemy już dłużej zwlekać. W schowku są tabletki pobudzające i lepiej je zażywaj, bo jak zaśniesz i zostaniesz z tyłu, to cię spalą. Pamiętaj o tym.

- Zapamiętam sobie pana. Mister, na wypadek, gdybym kiedyś wrócił do miasta. Nie martw się pan o to.

- Właż lepiej do wozu numer dwa i ruszaj. Wszystkie pojazdy wiozą ładunek. Bagażnik jest pod tylnym siedzeniem.

- Tak, wiem.

- ...I jeśli w ogóle się kiedyś spotkamy, to nie nastąpi to prędko. Zejdź mi z oczu, kanalio.

- Tanner splunął na ziemię i odwrócił się plecami do Inspektora Ruchu Drogowego. Kilku policjantów udzielało pierwszej pomocy jego bratu, a jeden oddalił się biegiem w poszukiwaniu lekarza. Z pozostałych kierowców Denton zestawiał dwie załogi i przydzielił im samochody numer jeden i trzy. Tanner wspinał się do kabiny swego wozu, zapuścił silnik i czekał. Patrząc w zamyśleniu na pnącą się ku zwierzchni rampę, zastanawiał się co go tam spotka. Przeszukał schowek i znalazł papierosy. Zapalił i rozparł się wygodnie w fotelu.

Pozostali kierowcy wgramolili się tymczasem do swych ciężko opancerzonych wehikułów. Z radia wydobyły się trzaski, potem szum, potem znowu trzaski, wreszcie, gdy Tanner słyszał już pomruk pracujących silników samochodów numer jeden i trzy, głośnik przemówił:

- Wóz numer jeden - gotów! Nastąpiła pauza.

- Wóz numer trzy - gotów! - zachrypiął inny głos. Tanner podniósł mikrofon i wcisnął

guzik z boku obudowy.

- Wóz numer dwa gotowy - powiedział.

- Odjazd - padł rozkaz i ruszyli rampą pod górę.

Brama uniosła się przed nimi, znikając w szczelinie sufitu i stanęli oko w oko z żywołem.

IV

Wydostanie się z Los Angeles i dotarcie do Trasy 91, było koszmarem. Z nieba lały się potoki wody a o pancerną karoserie samochodu bębniły odłamki skał wielkości baseballowych piłek. Tanner zapalił papierosa i włączył światła specjalne. Miał na oczach gogle noktowizyjne. Ścigały go noc i burza.

Kilka razy w radio rozlegały się jakieś trzaski i wtedy Tannerowi wydawało się, że słyszy dobiegający z oddali głos, ani razu jednak nie mógł zrozumieć o co mu chodzi.

Przez pewien czas jechali szosą, ale nadszedł wreszcie moment, gdy wielkie opony samochodów westchnęły na nierównym terenie. Tam szosa urywała się i tam Tanner wysunął się na czoło kolumny. Pozostali przyjęli to nawet z zadowoleniem i pewną ulgą. Tanner znał drogę, oni nigdy jeszcze tu nie byli.

Prowadził konwój starym, przemysłowym szlakiem, który przemierzał kiedyś, dostarczając Mormonom cukier. Nie było wykluczone, że z tych, którzy znali tę trasę, on jeden pozostał jeszcze przy życiu.

Zaczęło się błyskać. Nie, to nie były pojedyncze błyskawice, to rozjarzały się całe połacie nieba. Samochód był izolowany, ale po pewnym czasie włosy stały Tannerowi dęba. Przez chwile wydawało mu się, że widzi gigantycznego potwora Gile, ale nie był tego całkiem pewien. Na razie nie dotykał pulpitu sterowania ogniem. Oszczędzał swe pazury na specjalne okazje. Na ekranie wyświetlającym obrazy przekazywane przez tylne skanery, pojawił się krotki błysk, co mogło oznaczać, że jeden z posuwających się za nim wozów odpalił raketę. Pewności nie miał, gdyż utracił z nimi kontakt radiowy zaraz po opuszczeniu budynku.

Nacierające masy wody rozbryzgiwały się wokół samochodu. Niebo grzmiało niczym dywizjon artylerii. Przed maską spadł głaz wielkości nagrobka i Tanner musiał zboczyć z trasy, aby go objechać. Niebo przecinały raz po raz czerwone błyskawice. Gdy gasły, Tanner dostrzegał wiele czarnych pasm, przesuwających się z zachodu na wschód. Nie było to zachęcające widowisko. Burza mogła potrwać kilka dni.

Parł naprzód skrajem pasa promieniowania, którego natężenie nie zmalało przez cztery lata, jakie upłynęły od czasu, gdy przejeżdżał wtedy ostami raz.

Dotarli do miejsca, gdzie stopiony piasek zastygł, tworząc szklane morze. Wjeżdżając na szklistą tafłę, Tanner zwolnił, wypatrując kraterów i przepastnych szczelin, które przecinały jej powierzchnie.

Jeszcze trzykrotnie kamienny deszcz szturmował samochód Tannera, zanim niebiosa rozstały się, odsłaniając jaskrawoniebieskie sklepienie, graniczące w odcieniu z fioletem. Ciemne zasłony chmur zwinęły się ku biegunom, a ryk i huk przypominający artyleryjską kanonadę, przycichły. Na północy jarzyła się jeszcze lawendowa łuna. Zielone słońce chyliło się ku linii widnokregu.

Przejechali. Tanner wyłączył urządzenie noktowizyjne, zdjął gogle i zapalił zwykłe, nocne reflektory.

Nawet w dobrych warunkach atmosferycznych, ta płaszczyzna była trudna do przebycia.

Z góry runęło coś dużego, podobnego do nietoperza i przecinając snopy światła, rzucane przez reflektory, rozplynęło się w mroku. Zignorował ten incydent. Po pięciu minutach stwór pojawił się znowu, tym razem dużo bliżej. Tanner wystrzelił flarę. W jej świetle ukazał się czarny kształt o rozpiętości jakichś czterdziestu stóp. Tanner wpakował w niego dwie pięciosekundowe serie z działka kaliber pięćdziesiąt. Potwór spadł na ziemię i nie pojawił się już więcej.

Dla tamtych frajerów była to już Aleja Potępienia. Dla Czarta Tannera był to ciągle jeszcze zaciszny parking. Jeździł tędy trzydzieści dwa razy i uważał że prawdziwa Aleja Potępienia zaczyna się dopiero na terenie znanych niegdyś pod nazwą Colorado.

Jechał przodem, tamci podążali jego śladem. Nadciągała noc.

Od chwili zakończenia wojny, nie mógł tędy przelecieć żaden samolot. Żaden nie ośmielił się wznieść na wysokość przekraczającą dwieście stop. Tam brały swój początek wiatry. Wiatry. Potężne huragany, obiegające glob, ścierające wierzchołki gór, powalające niebotyczne sekwoje, obracające w gruzy budynki, porywające z sobą ptaki, nietoperze, insekty i wciągające wszystko do pasa śmierci. Wiatry, szalejąc po świecie w -opętanych wirach powietrznych trąb, siekąc niebo ciemnymi krechami gruzu, spotykały się czasem, łącząc ze sobą, ścierając, siejąc śmierć i zniszczenie. Transport drogą powietrzną do jakiegokolwiek miejsca na świecie nie wchodził absolutnie w rachubę, gdyż wiatry te krążyły i nigdy nie ustawały. Nie opuściły w każdym razie przez całe dwadzieścia pięć lat, jakie ze swego życia pamiętał Tanner.

Parł do przodu w zielonkawej poświacie, rzucanej przez zachodzące słońce. Z nieba opadały bez przerwy tumany, wielkie chmury pyłu, a ono samo, przed chwilą jeszcze fioletowe, przybrało teraz odcień purpury. Niebawem słońce skryło się całkowicie za widnokregiem i zapadła noc. Gwiazdy były bladymi punkcikami światła zawieszonymi gdzieś wysoko w przestworzach. Gdy wzeszedł księżyc, połowa jego tarczy, którą tej nocy

odślaniał, miała barwę lampki wina Chianti trzymanej przed świecą.

Tanner zapalił papierosa i zaczął kląć; powoli, cicho, bez emocji.

Przedzierali się między stosami gruzu i porzewiałego żelastwa. Mijali rumowiska skalne, sterty złomu, porozrzucane w nieładzie części maszyn, dziób statku. Przez drogę biegnącą pośród zwałów żelastwa sunął wąż, gruby jak pojemnik na śmieci i ciemnozielony w padającym na niego świetle reflektorów. Tanner zahamował, a wąż pełzł, pełzł i pełzł. Zanim Tanner zdjął nogę z hamulca i znowu delikatnie nacisnął pedał gazu. przesunęło się przed nim jakieś sto dwadzieścia stóp gada.

Gdy spojrział na ekran ukazujący podczerwoną wersję widoku na lewą stronę, wydało mu się, że w cieniu sterty belek i cegieł widzi parę jarzących się ślepi. Położył dłoń w pobliżu klawisza spustu i trzymał ją tam przez kilka mil jazdy.

W samochodzie nie było ani jednego okna. Zastępowały je ekrany, przekazujące obrazy tego, co działo się na zewnątrz ze wszystkich stron, w górze, nad pojazdem i pod spodem, między jego kołami. Tanner siedział w oświetlonej kabinie, która chroniła go przed promieniowaniem. "Samochód" przez niego prowadzony miał osiem kół na głęboko bieżnikowanych oponach i trzydzieści dwie stopy długości. Zamontowano w nim osiem karabinów maszynowych kaliber pięćdziesiąt i cztery granatniki. Uzbrojony był ponadto w trzydzieści rakiet przeciwpancernych, które można było odpalać na wprost i pod kątem, regulowanym płynnie od zera do czterdziestu stopni w stosunku do poziomu. W każdą z czterech ścian wehikułu oraz w jego dach wmontowany był miotacz ognia. Ostrymi jak brzytwa "skrzydłami" z hartowanej stali - szerokimi na osiemnaście cali u podstaw i zwężającymi się w ostrza grubości, w miejscu gdzie ich profil był najszerszy, jeden i ćwierć cala - można było poruszać wzdłuż burt samochodu na wysokości dwóch stóp i ośmiu cali, równoległe do powierzchni terenu. Ustawione pod kątem prostym do korpusu pojazdu - osiem stóp od wewnętrznej strony przedniego zderzaka - sterczały z obu burt na odległość sześciu stóp. Można je było nastawiać jak lance podczas szarży. Można je było trzymać odchylone od burt, aby przecinały wszystko, co atakowało wóz z boku. Samochód był kuloodporny, klimatyzowany, posiadał własną spiżarnię i urządzenia sanitarne. Na drzwiczkach, po rej ręce kierowcy, wisiał długolufy Magnum 0,357. Na półce, tuż nad przednim siedzeniem, spoczywały: pistolet 30.06, automat kaliber 0.45 i sześć ręcznych granatów.

Pomimo dysponowania takim arsenałem, Tanner zatrzymał swoją własną broń - wsunięty za cholewę buta, długi, wąski sztylet, będący ongiś w wyposażeniu formacji SS.

Ściągnął rękawiczki i wytarł spocone dłonie o kolana kombinezonu. Na grzbiecie

prawej dłoni wid-tło wytatuowane serce, czerwone w poświęcie padającej z tablicy rozdzielczej. Przeszywający je nóż t ciemnoniebieski, a pod spodem litery w tym samym kolorze, wytatuowane na kostkach palców, składały się, poczynając od nasady palca serdecznego, na jego imię - "CZART". Otworzył dwa najbliższe schowki i przeszukał je, ale cygar nie znalazł. Zgniół o podłogę niedopałek papierosa i zapalił następnego.

Na przednim ekranie pojawiły się ślady roślinności. Tanner zwolnił. Spróbował skorzystać z radia, i odbierając w odpowiedzi jedynie zakłócenia elektrostatyczne, nie potrafił stwierdzić, czy ktoś go słyszy.

Zwolnił ponownie patrząc na ekran i zatrzymał się.

Przełączył przednie reflektory na pełną jasność i badał sytuację.

Przed nim wyrastał zbity gąszcz ciemnych zarośli, wysokich na dwanaście stóp. Spojrzał w prawo, potem w lewo, ale zwarta, najeżona kolcami ściana ciągnęła się w obu kierunkach jak okiem sięgnąć. Jak gesty dalej i jak szeroki był ten monstualny żywopłot trudno było przewidzieć. Nie było go tutaj kilka lat temu.

Ruszył wolno naprzód, przygotowując miotacze ognia. Na wstecznym ekranie widział, jak dwa pozostałe wozy zatrzymują się o sto jardów za nim i przygaszają światła. Podjechał tak blisko, jak tylko mógł i nacisnął klawisz spustu przedniego miotacza. Bluzgający z niego ognisty język wdarł się na pięćdziesiąt jardów w głąb ciemnego gąszczy. Tanner uciskał klawisz przez piec sekund, puścił go, nacisnął jeszcze raz i kiedy krzaki zajęły się, szybko wycofał wóz.

Płomień, z początku ledwo zauważalny, z trudem torował sobie drogę ku górze i powoli rozprzestrzeniał się na boki, potem znieacka buchnął wysoko, zalewając okolice krwawym blaskiem. Jadąc ciągle na wstecznym biegu, Tanner musiał przyciemnić ekran, gdyż nim zdążył wycofać się na wystarczającą odległość, zarośla paliły się już na szerokość pięćdziesięciu stóp, a języki płomieni strzelały w górę na wysokość trzeciego pietra.

Ogień rozszerzał się w błyskawicznym tempie. Tanner, z miejsca gdzie się zatrzymał, mógł obserwować odpływającą w dal rzekę płomieni. Wokół było jasno jak w dzień.

Wpatrywał się z fascynacją w szalejący żywioł i w końcu miał wrażenie, że widzi przed sobą roztopione morze. Przeszukał wtedy lodówkę, ale piwa w niej nie znalazł. Otworzył puszkę bezalkoholowego napoju i popijając z niej, obserwował płonące zarośla. Po około dziesięciu minutach klimatyzator zaskomlał i zaczął pracować. Z rozszalałego piekła wypadały w popłochu hordy ciemnych, czworonożnych stworzeń wielkości szczura albo kota. Ich futerka dymiły. Przemykały tuż obok samochodu. W pewnym momencie zakryły obiektyw skanera przekazującego obraz na przedni ekran i Tanner usłyszał drapanie ich

pazurów o błotniki i dach.

Wyłączył reflektory, zgasił silnik i wrzucił pustą puszkę do pojemnika na odpadki, po czym popchnął dźwignie usytuowaną w poręczy fotela i odchylił oparcie do tyłu. Opadł na nie i zamknął oczy.

V

Obudziło go wycie klaksonów. Była jeszcze noc. Spojrzał na zegar wmontowany w tablice rozdzielczą i stwierdził, że spał niewiele ponad trzy godziny.

Przeciągnął się, usiadł prosto i wyregulował oparcie fotela. Dwa pozostałe wozy podjechały tymczasem bliżej i stały teraz po obu stronach jego samochodu. Zatrąbił dwukrotnie na swoim klaksonie i napuścił silnik. Włączył przednie reflektory i naciągając rękawice zbadął wzrokiem roztaczający się przed nim krajobraz.

Z poczerniałego pola ciągle unosiły się pasma dymu, a daleko po prawej świeciła krwawa luna, jak gdyby hen w oddali pożar trwał nadal. Znajdowali się w okolicy znanej niegdyś pod nazwą Nevada.

Przetarł oczy i podrapał się w nos, po czym jeszcze raz nacisnął klakson i wrzucił bieg.

Ruszył powoli naprzód. Wypalona strefa wydawała się być zupełnie płaska, a opony samochodu, grube i szerokie, nie powinny ucierpieć na skutek żaru bijącego od pogorzeliiska.

Wjechał na czarne pole wzbijając kołami fontanny dymu i popiołu, które spowiły samochód gęstym tumanem i przysłoniły wszystkie skanery. Ekrany natychmiast pociemniały. Posuwał się dalej, słysząc chrzest rozgniatanych oponami, kruchych resztek zwęglonych zarośli. Ustawił ekrany na największą Jasność i przełączył reflektory na światła długie.

Jadące po obu stronach jego wozu samochody zostały nieco w tyle i Tanner musiał znowu przyciemnić ekrany, gdyż blask ich reflektorów przekazywany przez wsteczne skanery oślepiał go.

Wystrzelił flarę i gdy zawisła wysoko, oblewając okolice jaskrawym, zimnym światłem, ujrzał przed sobą zwęgloną równinę ciągnącą się hen, po sam widnokrąg.

Dodał gazu i jadące za nim wozy, chcąc uniknąć tumanów popiołu wznieconych przez opony jego samochodu, rozjechały się daleko na boki. Radio zatrzeszczało i usłyszał dobiegający z oddali, zanikający głos, nie mógł jednak rozróżnić stów.

Zatrąbił klaksonem i potoczył się jeszcze szybciej. Dwa jadące z tyłu samochody dotrzymywały mu kroku.

Dopiero po upływie półtorej godziny dostrzegł w dali przed sobą kraniec spopielonego pola. Dalej ciągnął się czysty piasek.

W pięć minut później jechał już przez pustynie, sprawdzając wskazanie kompasu i

kierując się nieco bardziej na zachód. Wozy numer jeden i trzy pędziły z tyłu, przyspieszając, aby dostosować się do nowego tempa jazdy, a Tanner prowadził jedną ręką i zjadał kanapkę z wołowiną.

Wiele godzin później, gdy nadszedł ranek, Tanner zażył tabletkę pobudzającą i wsłuchał się w wycie wichru. Słońce weszło po jego prawej ręce niczym kula roztopionego srebra. Trzecia część nieba, poprzetykana pajęczyną cienkich linii, nabrała barwy bursztynu. Pustynia była topazowa, a gdy ciemności pierzchły na zachód i wokół słońca utworzyła się jasnoczerwona aureola, brązowa kurtyna kurzu wisząca bez przerwy za jego plecami, przebijana jedynie snopami światła rzucanymi przez jadące z tyłu wozy, nabrała odcienia różowawego. Mijając pomarańczowy kaktus o średnicy dobrych pięćdziesięciu stóp, przypominający kształtem muchomora, przygaśli reflektory.

Na południe czmychały gigantyczne nietoperze, a daleko przed sobą ujrzał szeroki, biorący swój początek w niebiosach, wodospad. Zanim dotarł do wilgotnego w tym miejscu piasku, wodospad już znikł, ale po lewej dostrzegł rozkładające się ścierwo zdechłego rekina, a wszędzie wokół zaścielały pustynię morskie ryby, wodorosty i kawałki przegniłego drewna.

Niebo poróżowiało ze wschodu na zachód i nie zmieniało już tej barwy. Tanner wychylił duszkiem butelkę lodowatej wody, czując jak zimny płyn spływa mu do żołądka. Mijał coraz więcej kaktusów, a przy jednym z nich siedziała para kojotów, obserwując go, gdy przejeżdżał obok. Odniósł wrażenie, że uśmiechają się do niego. Miały bardzo czerwone języki.

Gdy słońce stało się jaśniejsze, przyciemnił ekran. Zapalił papierosa i odszukał klawisz włączający muzykę. Zaklął, słysząc wypełniające kabinę płaczliwe dźwięki strun, ale nie wyłączył ich.

Skontrolował panujący na zewnątrz poziom promieniowania i stwierdził, że niewiele odbiega on od normy. Kiedy ostatnio tedy przejeżdżał, promieniowanie było znacznie silniejsze.

Minał kilka rozbitych pojazdów, takich samych jak jego. Pędził teraz krzemową równiną. Po jej środku ział ogromny krater i Tanner musiał nałożyć drogi, aby objechać go wokoło. Różowość nieba bladła, bladła i bladła, a jej miejsce zajmował odcień niebieskawy. Ciemne linie stale tam były i od czasu do czasu któraś z nich pęczniała do rozmiarów czarnej rzeki, odpływając na zachód. W południe, jedna z takich rzek przyćmiła na jedenaście minut słońce. Ziemie zalały ciemności i rozpętała się gwałtowna burza piaskowa. Tanner włączył radar i reflektory. Wiedział, że gdzieś przed nim przecina równinę szeroka rozpadlina. Kiedy

do niej dojechał, skręcił w lewo i przez niemal dwie mile posuwał się krawędzią urwiska, zanim szczelina zwęziła się i w końcu znikła. Wozy numer jeden i trzy sunęły za nim. Tanner jeszcze raz określił z kompasu swoje położenie. Pył opadał, gnany silnym wiatrem i chociaż ekran był przyćmiony, Tanner musiał założyć przydymione gogle, aby uchronić oczy przed rażącym blaskiem słonecznych promieni odbijających od wyszlifowanego niczym klejnot pola, które teraz przemierzał.

Mijał wznoszące się ku niebu twory, uformowane chyba z kwarcu. Nigdy przedtem nie zatrzymywał się, aby obejrzeć je z bliska i teraz też nie odczuwał takiej potrzeby. U ich podstaw płąsały barwy rozszczepionego światła, a w pewnym od nich oddaleniu pojawiały się i znikwały widmowe, kolorowe plamy.

Oddalając się szybko od krateru, Tanner wjechał ponownie na czysty, brązowy piasek. Tu kaktusów było więcej. Rosły wśród ogromnych wydm. Niebo zmieniało się nadal, aż w końcu stało się błękitne jak oczy noworodka. Tanner nucił akurat pod nosem, wtórując melodii wydobywającej się z głośnika, gdy nagle dostrzegł potwora.

To był Gila. Większy od jego samochodu. Poruszał się bardzo szybko. Wyprysnął z porosłej kaktusami doliny, w której cieniu miał swoją kryjówkę i gnał w kierunku Tannera. Jego perlisy tułów skrzył się w słońcu wieloma kolorami. Pędził wielkimi susami na zwinnych jaszczurczych nogach, nie mrugnawszy nawet ciemnymi, ponurymi ślepiami. Za uniesionym w górę, potężnym ogonem potwora, szerokim jak żagiel i spiczastym jak namiot, wzbijały się czarne fontanny pyłu.

Tanner nie mógł użyć rakiet, gdyż stwór szarżował z boku.

Otworzył strzelnicę pięćdziesiątek, rozwinął "skrzydła" i wcisnął do dechy pedał gazu. Gdy kreatura zbliżyła się na dostateczną odległość, wygarnął do niej z miotacza płomieni. W tym samym momencie otworzyły też ogień wozy numer jeden i trzy.

Potwór stanął jak wryty, machnął ogonem i kłapnął paszczką, a tryskająca krew utworzyła na ziemi czarną kałużę. I wtedy ugodziła go rakietą. Gila odwrócił się. Gila skoczył.

Rozległo się chrupniecie i chrzest wgniatanego metalu. Gila spadł na samochód oznaczony numerem jeden i znieruchomiał na jego dachu.

Tanner pocisnął po hamulcach, zawrócił i pojechał z powrotem.

Wóz numer trzy zbliżył się już do miejsca wypadku i stanął. Tanner zatrzymał się również.

Zeskoczył z kabiny na ziemię i podbiegł do rozbitego samochodu ściskając w garści

karabin. Zanim zbliżył się do wozu wpakował w łeb potwora sześć pocisków.

Drzwiczki otworzyły się same i zwisały na jednej, dolnej zawiasie.

Wewnątrz, rozciągnięci na podłodze, leżeli dwaj mężczyźni. Na tablicy rozdzielczej i fotelu widniały plamy świeżej krwi.

Do zaglądnącego do środka Tannera zbliżyli się dwaj kierowcy z samochodu numer trzy. Niższy z nich wdrapał się do kabiny. Przyłożył ucho do klatki piersiowej jednego z mężczyzn, zbadał mu puls, sprawdził, czy oddycha, potem przeczłogał się do następnego i powtórzył te samą procedurę.

- Mike nie żyje - krzyknął do stojących na zewnątrz - ale Greg zaczyna przychodzić do siebie. Z tyłu samochodu zaczęła tworzyć się kałuża. Powiększała się i powiększała, a powietrze wypełnił zapach benzyny.

Tanner wyjął papierosa, zawahał się i wsunął go z powrotem do paczki. Słyszał bulgotanie wydobywające się z ogromnych zbiorników paliwa, których zawartość spływała właśnie na ziemię.

- Nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego... - odezwał się mężczyzna stojący obok Tannera. - Chodziłem do kina, ale czegoś takiego jeszcze nie widziałem.

- Ja widziałem - odparł Tanner i w tym momencie z wraku wynurzył się drugi kierowca pomagając wsiąść człowiekowi, do którego zwracał się Greg.

- Z Gregiem w porządku - zawołał. - Uderzył tylko głową w tablicę rozdzielczą.

- Mógłbyś go zabrać. Czart - powiedział człowiek stojący obok Tannera. Może ci pomagać, jak poczuje się lepiej.

Tanner wzruszył ramionami, odwrócił się plecami do rozgrywającej się sceny i zapalił papierosa.

- Myślę, że nie powinienes... - zaczął mężczyzna, ale Tanner dmuchnął mu w twarz kłębem dymu. Odwrócił głowę, aby widzieć dwóch zbliżających się mężczyzn i stwierdził, że Greg jest ciemnokim chłopakiem o brązowej cerze. Pewnie półkrwi Indianin. Miał gładką skórę, pominałszy dwie blizny po ospie pod prawym okiem, wystające kości policzkowe i ciemne włosy. Był wzrostu Tannera, chociaż nie tak dobrze zbudowany. Miał na sobie kombinezon, i teraz, gdy wciągnął już w płuca kilka głębokich haustów powietrza, szedł wyprostowany, szybkim, pełnym gracji krokiem.

- Musimy pochować Mike'a - odezwał się niski mężczyzna, przystając przed Tannerem i drugim kierowcą.

- Nie lubię tracić czasu - odezwał się jego towarzysz - ale...

W tym momencie Tanner cisnął papierosa i padł na ziemię. Jarzący się niedopałek

wylądował w kałuży wyciekającej ze zbiornika benzyny.

Nastąpiła eksplozja, buchnęły płomienie, potem powietrzem wstrząsnęła znowu seria wybuchów. Tanner słyszał wizg startujących ku wschodowi rakiet, znaczących swój tor ciemnymi brzdami w upalnym powietrzu południa. Ekspłodowała amunicja do pięćdziesiątek i rozerwały się granaty ręczne. Tanner zagrzebywał się coraz głębiej w piasku, zasłaniając rękoma głowę i zakrywając uszy.

Gdy tylko się uciszyło, porwał za karabin, ale tamci stali już nad nim. Podnosząc głowę, ujrzał wycelowaną w siebie lufę pistoletu. Powoli podniósł ręce w górę i wstał.

- Dlaczego to zrobiłeś, do cholery? - spytał kierowca trzymający pistolet.

- Teraz nie musimy go już grzebać - wyjaśnił z uśmiechem Tanner. - Kremacja jest równie dobra, a poza tym już po wszystkim.

- Mogłeś nas wszystkich pozabijać, gdyby te działka i te wyrzutnie rakiet były skierowane w naszą stronę!

- Nie były. Widziałem.

- Odłamki mogły... Ach, rozumiem. Podnieś swój karabin, chłopie i trzymaj go lufą w dół. Wyjmij z niego wszystkie naboje i włóż je do kieszeni. Tanner bez ociągania wykonywał wszystkie polecenia.

- Chciałeś się nas wszystkich pozbyć, tak? Potem mógłbyś się urwać i ruszyć własną drogą, tak jak już tego próbowałeś wczoraj. Nie mam racji?

- Pan to powiedział. Mister, nie ja.

- Mnie się wydaje, że mam rację. Gównu ciebie obchodzi, że cały Boston wykituje, no nie?

- Mój karabin już rozładowany - powiedział Tanner.

- No to wracaj do swego cholernego grata i ruszaj! Przez całą drogę będę jechał za tobą! Tanner odwrócił się i poszedł w stronę swojego samochodu. Słyszał jak mężczyźni spierają się o coś

za jego plecami, ale był pewien, że go nie zastrzelą. Gdy miał się już wspiąć do kabiny dostrzegł kątem

oka cień i odwrócił się szybko. Za nim stał człowiek imieniem Greg. Zjawił się tu cicho jak duch.

- Chcesz, żebym trochę poprowadził? - spytał Tannera bezbarwnym głosem.

- Nie, odpocznij. Trzymam się jeszcze niezłe. Może później, po południu, o ile będziesz się czuł na siłach.

Mężczyzna skinął głową i obszedł samochód dookoła. Wsiadł z drugiej strony i

natychmiast rozłożył swój fotel.

Tanner zatrzasnął drzwiczki od swojej strony i zapuścił silnik. Usłyszał jak włącza się klimatyzator.

- Zechciałbyś go naładować i położyć z powrotem na półkę? - powiedział wręczając Gregowi karabin i amunicję. Tamten skinął potakująco głową. Tanner naciągnął rękawice i powiedział:

- W lodówce jest pełno napojów. Niewiele więcej.

Greg ponownie skinął głową. Po chwili usłyszeli jak rusza samochód numer trzy.

- No to odjazd - powiedział Tanner, wrzucił bieg i zdjął nogę ze sprzęgła.

VI

Po trzydziestu minutach jazdy, człowiek imieniem Greg odezwał się do Tannera:

- Czy to prawda, co mówił Marlowe?- spytał.

- Co za Marlowe?

- Ten, który prowadzi drugi wóz. Czy próbowałeś nas zabić? Naprawdę chciałeś nawiać? Czart roześmiał się.

- Naprawdę - odparł.

- Dlaczego?

Czart zwlekał minutę z odpowiedzią.

- A dlaczego nie miałbym tego zrobić? - powiedział w końcu. - Niespieszne mi do umierania. Chciałbym jeszcze trochę pożyć, zanim wybiorę się na tamten świat.

- Jeśli nie dojedziemy, to wymrze połowa ludzi na kontynencie - powiedział Greg.

- Gdybym już miał wybierać oni czy ja, wolałbym raczej, żeby to byli oni.

- Zastanawiam się czasem skąd się biorą tacy ludzie jak ty.

- Stamtąd co i wszyscy. Mister. Najpierw jest chwila przyjemności dla dwojga ludzi, a potem zaczynają się kłopoty.

- Co oni d w ogóle zrobili, Czart?

- Nic. A co oni w ogóle zrobili dla mnie? Nic. Nic. Co im jestem dłużny? To samo.

- A dlaczego skopałeś tam w garażu swojego brata?

- Bo nie chciałem, żeby pakował się w taki śmierdzący interes jak ten i nadstawiał karku. Połamane zebra sobie wykuruje. Śmierć to bardziej przewlekła dolegliwość.

- Nie o to pytałem. Chciałem wiedzieć, co de obchodzi czy on zginie, czy nie?

- Obchodzi mnie, bo to dobry chłopak. Chyba jednak coś czuje do tej dzierlatki i nie potrafi trzeźwo myśleć.

- Dalej nie rozumiem, po co się w to wtrąciłeś?

- Mówiłem już. Jest moim bratem i dobry z niego chłopak. Lubię go.

- Jak to możliwe?

- Ech, do diabła! Dużo razem przeszliśmy i basta! O co ci chodzi? Bawisz się w psychoanalitkę?

- Chciałem tylko wiedzieć, nic więcej.

- No to teraz wiesz. Jak już chcesz gadać, to mówmy o czym innym, w porządku?

- Okay. Kiedyś już tedy jechałeś, tak?

- Tak, jechałem.
- A byłeś jeszcze dalej na wschód?
- Przejechałem całą trasę, aż do Missus Hip.
- Znasz miejsce, w którym można by się przez nią przeprawić na drugą stronę?
- Chyba tak. Most w Saint Louis ciągle stoi. .
- To dlaczego nie przejechałeś przez niego jak już tam byłeś?
- Nie wygłupiaj się. Jest zakorkowany samochodami pełnymi kościotrupów. Szkoda było fatygi, żeby ;o oczyścić.
- A po co w ogóle pojechałeś tak daleko?
- Żeby zobaczyć jak tam jest. Nasłuchałem się tych wszystkich opowiadań...
- No i jak tam było?
- Jeden wielki burdel. Wypalone śródmieścia, wielkie kratery, oszalałe zwierzęta, trochę ludzi...
- Ludzi? To ludzie jeszcze tam żyją?
- Jeśli można ich nazwać ludźmi. Są zdziczali i zamknięci w sobie. Ubierają się w jakieś łachmany albo w skóry zwierząt, albo chodzą nago. Rzucali we mnie kamieniami, dopóki dwóch nie zastrzeliłem. Potem zostawili mnie w spokoju.
- Dawno to było?
- Sześć, może siedem lat temu. Byłem wtedy prawie dzieciakiem.
- Jak to się stało, że nigdy nikomu o tym nie opowiadałeś?
- Opowiadałem. Paru kumplom. Nikt inny nawet mnie nie zapytał. Zamierzaliśmy wybrać się tam, porwać parę dziewczyn i przywieźć je z powrotem, ale wszyscy skrewili.
- A co byście z nimi zrobili? Tanner wzruszył ramionami.
- Licho wie. Chyba byśmy je sprzedali.
- Tak, wiem. Trudniliście się tym na Barbary Coast - znaczy się, sprzedawaliście ludzi, prawda? Tanner ponownie wzruszył ramionami.
- Owszem - odparł. - Przed Wielką Obławą.
- A jak ci się udało ująć z niej z życiem? Myślałem, że oczyścili cały rejon.
- Siedziałem - odparł Tanner. - "N.B.R."
- Co to znaczy?
- Napad z Bronią w Ręku.
- A co robiłeś, kiedy cię wypuścili? - Dałem się zresocjalizować. Dostałem robotę przy przewożeniu poczty.
- A tak, słyszałem o tym. Nie wiedziałem tylko, że to byłeś ty. Nieźle się

zapowiadałeś. Pracowałeś dobrze i awans miałeś już w kieszeni. Potem skopałeś swojego szefa i wylali de z pracy. Jak do tego doszło?

- Czepiał się ciągle mojej przeszłości i mojej starej bandy z Barbary Coast. Pewnego dnia powiedziałem mu wreszcie, żeby się odczepił, a on roześmiał mi się w twarz. No to mu przyłożyłem łańcuchem. Jak upadł, wybiłem mu kopniakiem przednie zęby. Zrobiłbym to jeszcze raz.

- To niedobrze.

- Byłem najlepszym kierowcą, jakiego miał. To była jego strata. Nikt oprócz mnie nie dojedzie do Albuquerque. Nawet dzisiaj. Nie dojedzie, o ile nie będzie na gwałt potrzebował forsy.

- Chyba lubiłeś swoją pracę, skoro ją wykonywałeś?

- Tak. Lubię prowadzić.

- Powinieneś poprosić o przeniesienie, kiedy ten facet zaczął ci wiercić dziurę w brzuchu.

- Wiem. Jeśli by się to zdarzyło dzisiaj, to tak bym prawdopodobnie zrobił. Wściekłem się. Wściekałem się wtedy dużo szybciej niż teraz. Teraz jestem chyba dużo cwańszy niż wtedy.

- Gdyby udało ci się teraz dojechać i jeśli wróciłbyś potem do domu, to mógłbyś dostać z powrotem te prace. Wziąłbyś ją?

- Po pierwsze - odparł Tanner - nie wierze, że dojedziemy, po drugie, jeśli nam się to nawet uda i w tym mieście będą jeszcze ludzie, to raczej zostaną tam niż wrócę. Greg pokiwał głową.

- Sprytnie. Byłbyś tam bohaterem. Nikt nie znałby twojej przeszłości. Ktoś mógłby cię sprowadzić na dobrą drogę.

- Do diabła z bohaterami - powiedział Tanner.

- Co do mnie, to wracam, jeśli dojedziemy.

- Pożeglujesz wokół przylądka Horn?

- Tak.

- To może być zabawne. A po co wracasz?

- Mam starą matkę i kupę braci i sióstr na utrzymaniu. Zostawiłem tam też dziewczynę. Tanner rozjaśnił ekran, bo niebo zaczynało ciemnieć.

- Jaka jest twoja matka?

- Ładna jak lady. Wychowywała nas ośmioro. Cierpi teraz na artretyzm.

- A jaka była, kiedy byłeś dzieciakiem?

- W dzień pracowała, ale gotowała nam posiłki i czasem dała po cukierku. Uszyła nam dużo ubrań. Opowiadała nam jak było przed wojną. Grała z nami w różne gry i czasem kupowała nam zabawki.

- A co z twoim starym?

- Nieźle sobie popijał, często zmieniał prace, ale nigdy za bardzo nas nie bił. Był w porządku. Przejechał go samochód, gdy miałem dwanaście lat.

- I teraz ty utrzymujesz wszystkich?

- Tak. Jestem najstarszy.

- A gdzie pracujesz?

- Przyszedłem na twoje miejsce. W OŻĘ pocztę do Albuquerque

- Żartujesz.

- Nie.

- Niech mnie cholera! Kierownikiem jest stale Gorman?

- Poszedł na rentę w zeszłym roku. Niezdolność do pracy.

- A jak jeździłeś do Albuquerque, to byłeś kiedyś w barze, który nazywa się "U Pedra"?

- Byłem.

- Mają tam jeszcze taką blondyneczkę, która gra na pianinie? Nazywa się Margaret?

- Nie.

-O...

- Mają tam teraz jednego faceta. Taki grubas. Nosi wielki pierścień, na palcu lewej ręki. Tanner pokiwał głową i zmienił bieg. Pieli się teraz pod strome wzniesienie.

- Jak z twoją głową? - spytał Grega, gdy dotarli do szczytu i zaczęli zjeżdżać w dół przeciwnym zboczem.

- Nieźle. Wezmę dwie twoje aspiryny.

- Czujesz się na siłach, żeby za chwilę poprowadzić?

- Jasne, mogę prowadzić.

- No to dobrze. - Tanner nacisnął klakson i zahamował. - Jedź jakieś sto mil według kompasu, a potem mnie obudź. Zgoda?

- Dobrze. Mam na coś szczególnie uważać?

- Na węże. Parę już pewnie widziałeś. Nie najedź na nie, żeby nie wiem co.

- W porządku.

Zamienili się miejscami i Tanner rozkładając swój fotel zapalił papierosa. Wypalił tylko połowę, zgniół niedopałek o podłogę i zapadł w sen.

VII

Gdy Greg obudził go, była już noc.- Tanner zakaszał, popił odrobinę lodowatej wody i przeczołgał się do latryny. Po wyjściu z niej. zajął miejsce w fotelu kierowcy, sprawdził licznik przebytych mil i spojrzął na kompas. Skorygował kurs.

- Jak dobrze pójdzie, to przed świtem będziemy w Salt Lake City - zawyrokował. - Nie wpakowałeś się w jakieś kłopoty?

- Nie. Poszło gładko. Widziałem parę węży, ale ominąłem je z daleka. To wszystko. Tanner chrząknął i wrzucił bieg.

- Jak się nazywał ten facet, który przyniósł wiadomość o epidemii?

- Brady, czy Brody - coś w tym rodzaju - odparł Greg.

- Na co umarł? Mógł przecież przywlec zarazę do L.A. ' Greg potrząsnął głową.

- Nie. Jego samochód został uszkodzony, a on sam był cały pogruchotany i przez dużą część drogi wystawiony na działanie promieniowania. Spalili jego ciało i samochód, a każdy kto się z nim stykał, dostał zastrzyk Haffikiny.

- Co to takiego?

- Właśnie ją wieziemy. Antyserum Haffikina. To jedyny preparat, który może zapobiec rozszerzaniu się epidemii. Kiedy przed dwudziestu laty grasowała na naszym terenie, mieliśmy Haffikine pod ręką i zachowaliśmy środki, aby szybko wyprodukować jej więcej. Boston o to nie zadbał i teraz cierpią.

- To mi wygląda na coś w rodzaju głupoty ze strony jednego z dwóch państw istniejących jeszcze na tym kontynencie, a może i na całym świecie. Żeby nie zadbać o siebie wiedząc, że my to mamy. Greg wzruszył ramionami.

- Chyba masz racje, ale stało się. Robili ci przed zwolnieniem jakieś zastrzyki? .

- Tak.

- A wiec to było właśnie to.

- Zastanawiam się, w którym miejscu ich kierowca przeprowadził się przez Missus Hip? Nie powiedział tego, co?

- W ogóle mało co mówił. Większość tej historii wyczytali z listu, który miał przy sobie.

- To musiał być po byku kierowca, jeśli przejechał Aleją.

- Tak. Nikt tego chyba przedtem nie dokonał, co?

- Ja przynajmniej nic o tym nie wiem.

- Chciałbym poznać tego gościa.

- Ja też.

- Dobrze, że nie mamy łączności radiowej przez cały kraj, jak to było dawniej.

- Dlaczego?

- Wtedy nie musiałby jechać, a my moglibyśmy badać całą trasę, żeby stwierdzić, czy w ogóle da się nią przejechać. Wszyscy mogliby tam przez ten czas powymierać.

- Masz orzech do zgryzienia. Mister. Za dzień, czy coś koło tego, znajdziemy się w punkcie, z którego trudniej będzie wrócić niż jechać dalej. Tanner wyregulował ekran, po którym przesuwały się jakieś ciemne kształty.

- Popatrz na to!

- Nic nie widzę.

- Załóż noktowizory.

Greg nasunął na oczy gogle noktowizyjne i utkwiał wzrok w ekranie.

Nietoperze. W powietrzu szybowwały olbrzymie nietoperze, przelatując nad samochodem czarnymi chmurami.

- Muszą być ich setki, może tysiące...

- Chyba tak. Zdaje się, że jest więcej niż kilka lat temu, kiedy tedy jechałem. Muszą się wylegać w Carisbad.

- W L.A. nigdy ich nie widzimy. Może są nieszkodliwe?

- Kiedy ostatni raz byłem w Salt Lake, słyszałem gadki, że wiele z nich jest wściekłych. Ktoś musi się tym wreszcie zająć - one, albo my.

- Jesteś równy facet. Dobrze się z tobą jedzie, wiesz? Tanner zachichotał i zapalił papierosa.

- Może zrobiłbyś nam jakiejś kawy? - powiedział. - A co do nietoperzy, to są to bydlaki, których mogą się bać nasze dzieci, jeśli jakieś mamy.

Greg napelnił ekspres do kawy i wsunął wtyczkę w tablicę rozdzielczą. Po chwili ekspres zaczął dudnić i syczeć.

- A to co, u diabła? - zdziwił się Tanner i gwałtownie zahamował. Drugi samochód zatrzymał się o sto jardów za nimi. Tanner podniósł mikrofon i powiedział:

- Wóz numer trzy! Co to według ciebie jest? - Czekał.

Obserwował je: niebotyczne, stożkowate bąki, wirujące między niebem, a ziemią, chybotające się na boki, przesuwane tam i z powrotem w odległości mili przed nimi. Było ich czternaście albo piętnaście. To stały prosto i nieruchomo jak filary, to znów tańczyły jakiegoś diabelskiego walca. Wwiercały się w ziemię i zasysały w siebie żółty pył. Otaczała

je leciutka mgiełka. Ponad i poza nimi gwiazdy byty przyćmione albo nie było ich wcale.

Greg szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w ekran.

- Słyszałem o trąbach powietrznych, o tornadach - wielkich wirach powietrza. Nigdy ich nie widziałem, ale tak właśnie mi je opisywano. Radio zatrzeszczało i przemówiło przytłumionym głosem człowieka nazwiskiem Marlowe:

- Gigantyczne, pyłowe diabły. Wielkie obrotowe burze piaskowe. Myślę, że wszystko co napotykają po drodze, wsysają do pasa śmierci, bo nie widzę, żeby coś opadało z powrotem na dół.

- Widziałeś kiedy coś podobnego?

- Ja nie, ale mój pomocnik mówi, że widział. Mówi, że lepiej będzie wysunąć słupy kotwiczne i zostać tu na miejscu. Tanner nie odpowiedział od razu. Patrzył na tornada, które zdawały się powiększać.

- Przejdą tedy - stwierdził w końcu. - Nie jestem za tym, żeby się tu zatrzymać i czekać, aż mnie porwą. Chce zachować zdolność manewru. Jadę przez nie.

- Nie radzę ci.

- Nikt ciebie nie pyta, Mister, a jeśli masz choć trochę oleju w głowie, to zrobisz to samo.,

- Moje rakiety są wycelowane w tył twojego wozu. Czart.

- I tak ich nie odpalisz - nie za takie coś. Przecież to ja mogę mieć racje, nie ty. A poza tym jest tu jeszcze Greg. Zapadła chwila milczenia, mącona zakłóceniami elektrostatycznymi.

- Okay, wygrałeś Czart - odezwał się wreszcie Marlowe. - Jedz, a my popatrzymy. Jak ci się uda, ruszymy za tobą, a jak nie, zostaniemy tu, gdzie stoimy.

- Wystrzelę flarę, gdy przedostanę się na drugą stronę - powiedział Tanner. - Gdy ją zobaczycie, zróbcie to samo, okay?

Przerwał połączenie i spojrzał przed siebie, oceniając wzrokiem ogromne, czarne, rozdęte u wierzchołków kolumny. Z burzy, którą podtrzymywały, spłynęło kilka świetlnych rozbłysków, ale przestrzeń pomiędzy ciemnymi, obracającymi się w zawrotnym tempie pniami była ciągle zasnutą mgiełką.

- Idą na nas - powiedział Tanner, przełączając reflektory na największą możliwą jasność. - Zapnij pasy, chłopcze.

Greg usłuchał go. Pojazd z chrzęstem ruszył naprzód.

Tanner zapiął swój pas bezpieczeństwa i prowadził wóz powoli w kierunku czarnych słupów. W miarę jak się do nich zbliżali, filary chwiejąc się rosły w oczach. Było teraz słychać agresywny śpiewny dźwięk - pieśń wichrowego chóru.

Minął pierwszy w odległości trzydziestu jardów i skręcił w lewo, aby zejść z drogi temu, który tkwił naprzeciw i bezustannie pęczniał. Kiedy go wyminął, natknął się na następnego i skręcił jeszcze bardziej w lewo. Przed sobą dostrzegł ćwierćmilowy pas wolnej przestrzeni biegnący nieco w prawo. Dodał gazu i pojechał szybciej, przemykając po drodze między dwoma wieżami wznoszącymi się ku niebu niczym ebonitowe filary. Gdy je mijał, o mało nie wyrwało mu kierownicy z rąk. Miał wrażenie, że znalazł się w centrum trwającego wiecznie uderzenia gromu. Skręcił w prawo i przyspieszając jeszcze bardziej, ominął następną kolumnę.

Gdy to uczynił, ujrzał przed sobą siedem kolejnych. Przemknął na pełnym gazie między dwiema i objechał trzecią. Wtedy kolumna, która została za nim, ruszyła gwałtownie z miejsca, uniemożliwiając mu skręt w prawo. Westchnął ciężko i skręcił w lewo.

Otoczały go ostatnie cztery kolumny. Zahamował gwałtownie. Szarpnięcie było tak silne, że pasy bezpieczeństwa werżnęły mu się w ramiona. Dwa z wirów powietrznych zadrżały i ze straszliwymi przyspieszeniami ruszyły nagle do przodu. Jeden, przechodząc przed maską, uniósł przód samochodu w gore.

Tanner wcisnął do dechy pedał gazu i przemknął między dwoma ostatnimi. To był koniec. Wszystkie czarne diabły zostały za nim.

- Przejechał jeszcze ćwierć mili, potem zawrócił, wjechał na małe wzniesienie i stanął. Wystrzelił flarę.

Wisiąca przez jakieś pół minuty w powietrzu, niczym gasnąca gwiazda.

Zapalił papierosa i wyteżając wzrok patrzył w kierunku, z którego przed chwilą nadjechał. Czekał.

Skończył papierosa.

- Nic - powiedział. - Może jej nie dostrzegli poprzez te burze. Albo to my nie zauważyliśmy ich sygnału.

- Żeby tak było - odezwał się Greg.

- Jak długo chcesz czekać?

- Napijmy się kawy.

Minęła godzina, potem dwie. Trąby powietrzne zaczęły się kurczyć, aż wreszcie pozostały tylko trzy z tych smuklejszych. W końcu i one odleciały na wschód, ginąc z pola widzenia. Tanner wystrzelił następną flarę. Odpowiedzi nadal nie było.

- Pojedźmy lepiej z powrotem i poszukajmy ich - odezwał się Greg.

- Okay.

Pojechali z powrotem.

Nie znaleźli tam jednak nic. Nic, co świadczyłoby o losie samochodu numer trzy. Zanim zakończyli poszukiwania, na wschodzie zaczęło świtać. Tanner zawrócił, sprawdził wskazanie kompasu i ruszył na północ.

- Kiedy, według ciebie będziemy w Salt Lake? - spytał po długiej chwili milczenia Greg.

- Za jakieś dwie godziny.

- Bałeś się jak przejeżdżaliśmy przez to świństwo?

- Nie, ale potem nie czułem się najlepiej. Greg pokiwał głową.

- Może chcesz, żebym znowu poprowadził?

- Nie. I tak nie mógłbym zasnąć. Zatankujemy w Salt Lake i możemy tam coś przekąsić, kiedy mechanicy będą sprawdzali wóz. Potem dociągnę do dobrej drogi i będziesz mógł mnie zmienić, a ja się zdrzemnę.

Niebo było znowu purpurowe, a czarne pasma poszerzały się. Tanner zaklął i przyspieszył. Bluznął płomieniem z miotacza zamontowanego pod spodem wozu do dwóch nietoperzy, które postanowiły dokonać przeglądu pojazdu. Spadły na ziemię i zostały z tyłu, a Tanner przyjął od Grega kubek gorącej kawy.

VIII

Gdy wczesnym rankiem dotarli do Salt Lake City, niebo było tak ciemne, iż wydawać się mogło, że to już wieczór. John Brady - tak właśnie brzmiało jego nazwisko - przejeżdżał wtedy kilka dni wcześniej i miasto przygotowane było na przyjęcie samochodu z Los Angeles. Na ulice wyległa większość z dziesięciu tysięcy mieszkańców i zanim Czart i Greg zeskoczyli z kabiny na ziemię, po zatrzymaniu się w pierwszej napotkanej stacji obsługi, maska wozu numer dwa była już otwarta i nad silnikiem pochylało się trzech mechaników.

Zrezygnowali ze spożycia posiłku w wozie restauracyjnym, zaparkowanym po drugiej stronie ulicy, gdyż zbyt wielu ludzi zarzuciło ich zbyt wieloma pytaniami, kiedy tylko ruszyli się na krok poza bramę garażu. Wycofali się szybko z powrotem i posłali kogoś po jajecznice na bekonie i tosty.

Po skończonym przeglądzie, samochód wytoczył się na ulice i przyspieszając odjechał na wschód, żegnany przez wiwatujące tłumy.

- Mogliśmy napić się piwa - westchnął Tanner. - Diabli nadali! Pędzili teraz wzdłuż czegoś, co dawniej było Trasą U.S. 40. Tanner przekazał Gregowi kierownicę i wyciągnął się w pasażerskiej części kabiny. Niebo nad nimi nieustannie ciemniało, nabierając powoli wyglądu, który miało poprzedniego dnia w LA.

- Może uda nam się przed nią uciec - powiedział Greg.- Miejmy nadzieje. Na północy pojawiło się niebieskie pulsowanie, przeradzając się stopniowo w błyszczącą zorze. Niebo nad nimi było teraz niemal czarne.

- Gazu! - krzyknął Tanner. - Gazu! Tam przed nami jest pasmo wzgórz! Może znajdziemy jakiś nawis skalny albo jaskinię.

Ale burza rozpętała się zanim dotarli do wzgórz, najpierw spadł grad, potem śnieg, w końcu z nieba zaczęły sypać się wielkie głązy i prawy skaner przestał działać. Karoserie siekły tumany piasku. Nagle z góry lunety na nich kaskady wody. Silnik zaczął przerywać i krztusić się.

Kiedy dotarli wreszcie pod osłonę wzgórz, burza szalała już na dobre. W skalistej dolince znaleźli zaciszne miejsce, gdzie ściany stercząc stromo do przodu, osłabiały znacznie siłę tej wiatro-piaskowo-pyłowo-skalno-wodnej burzy. Siedzieli tam w miarę bezpieczni, a wokół zawodził i huczał wiatr. Palili papierosy i słuchali.

- Nie damy rady - powiedział Greg. - Miałeś racje. Wydawało mi się, że mamy szansę. Teraz już wiem, że ich nie mamy. Wszystko sprzysięgło się przeciwko nam, nawet pogoda.

- Mamy szansę - powiedział Tanner. - Może niezbyt realną, ale jak dotąd dopisywało nam szczęście. Nie zapominaj o tym. Greg splunął do pojemnika na odpadki.

- Skąd ten przyływ optymizmu? I to u ciebie?

- Bytem wtedy wściekły i gadałem co mi ślina na język przyniosła. Zresztą nadal jestem **zły**, ale czuję, że szczęście mi sprzyja. Greg roześmiał się.

- Do diabła ze szczęściem. Zobacz co się tam dzieje - powiedział.

- Widzę - odparł obojętnie Tanner. Tego grata przystosowano do takich warunków i na razie spisuje się dobrze. Poza tym, tu gdzie stoimy, burza pokazuje tylko dziesięć procent tego, co potrafi.

- Okay, ale co to za różnica? To może potrwać parę dni.

- No to poczekamy.

- Jak będziemy za długo czekać, to nawet te dziesięć procent może nas zmiażdżyć. Jak będziemy **za** długo czekać i jeśli nawet nas nie zmiażdży, to nie będzie już po co jechać dalej. A spróbuj się stąd ruszyć, to rozgniecie nas na placek.

- Zamontowanie nowego skanera zajmie mi dziesięć, najwyżej piętnaście minut. Mamy zapasowe "oczy". Jeśli burza potrwa dłużej niż sześć godzin, to ruszamy. Niech się dzieje co chce.

- Kto tak mówi?

- Ale dlaczego? Przecież to ty z takim zapałem broniłeś się przed nadstawianiem własnego karku. Co to się stało, że ni z tego ni z owego chcesz ryzykować? Co innego ja. Tanner zaciągnął się dymem.

- Dużo myślałem - powiedział po chwili i zamilkł.

- O czym? - spytał Greg.

- O tych ludziach z Bostonu - odparł Tanner. - Może to warto. Sam nie wiem. Nic nigdy dla mnie nie zrobili, ale do diabła, lubię działać i cholera mnie bierze, gdy widzę jak cały świat umiera. Poza tym, chciałbym zobaczyć Boston. Po prostu zobaczyć jak wygląda. To może być nawet zabawne - zostać bohaterem. Chociażby po to, żeby przekonać się na własnej skórze jak to jest. Nie zrozum mnie źle. Nie dałbym złamanego grosza za nikogo stamtąd. Szlag mnie tylko trafia, jak sobie pomyśle, że wszystko może się stać takie, jak ta Aleja - wypalone, przewrócone do góry nogami i pełne gówna. Zacząłem myśleć, jak straciliśmy drugi wóz w tym tornadzie. Nie chciałbym widzieć jak wszyscy giną w ten sposób - jak wszystko tak ginie. Ciągle jeszcze mogę nawiać, jak nadarzy mi się dobra okazja. Mówię ci tylko, co teraz czuje. Skończyłem.

Greg odwrócił głowę i roześmiał się, nieco serdeczniej niż zwykle.

- Nigdy cię nie podejrzewałem o takie głębie filozoficzne.

- Ja siebie też. Zmęczyłem się. Opowiedz mi lepiej o swoich braciach i siostrach, co?

- Okay.

Cztery godziny później, gdy burza straciła na sile i spadające z nieba głązy zastąpił pył, a **deszcz** przerodził się w mgłę, Tanner wymienił prawy skaner i ruszyli przez Park Narodowy Gór Skalistych. Mgła i unoszący się w powietrzu kurz przez cały dzień ograniczały widoczność. Tego wieczora okrążyli ruiny Denver. Potem Tanner zmienił Grega za kierownicą i poprowadził samochód w stronę terenów zwanych kiedyś Kansas.

Jechał całą noc. O świcie niebo było czystsze niż w ciągu poprzednich dni. Pozwolił Gregowi chrapać, a sam, siorbiąc kawę, zabrał się do porządkowania swoich myśli.

Gdy tak siedział z dłońmi na kierownicy pędzącego samochodu i z-ułaskawieniem w kieszeni, ogarnął go dziwny nastrój. Z tyłu, za samochodem unosiły się tumany kurzu. Niebo miało barwę pączka róży, a czarne bruzdy znowu się skurczyły. Przypomniał sobie opowieści o dniach, kiedy spadły pociski, obracając w perzynę wszystko, oprócz rejonów położonych na północnym wschodzie i południowym zachodzie; o dniach, kiedy zerwały się wichry, znikły chmury, a niebo straciło swój błękitny kolor; o dniach, kiedy zniszczony został Kanał Panamski i przestało działać radio; o dniach, po których samoloty nie mogły już latać. Żałował tego, bo zawsze chciał latać, wysoko jak ptak, nurkując i wzbijając się w górę. Poczul chłód. Ekrany miały teraz przezroczystość kryształu i wyglądały jak sadzawki zabarwionej wody. Gdzieś przed nim, daleko, daleko przed nim leżało coś, co było może jedynym, poza Los Angeles, większym skupiskiem ludzkim, jakie nosił jeszcze na swych barkach świat. Jeśli zdoła dotrzeć tam na czas, może je ocalić. Rozejrzał się wokół. Zobaczył skały, piasek i ścianę rozwalonego garażu, który w jakiś niewyjaśniony sposób znalazł się na górskim zboczu. Długo jeszcze pozostał mu w pamięci, chociaż dawno go już minął. Pogruchootany, zapadnięty, na wpół zasypany gruzem przypominał monstrualną, zmurszałą czaszkę, którą nosiły kiedyś ramiona olbrzyma. Cisnął mocniej pedał gazu, chociaż ten doszedł już do oporu. Chwyciły go dreszcze. Niebo pojaśniało, ale nie regulował ekranu. Dlaczego to musiał być on? Przed sobą, nieco po prawej, dostrzegł gęste kłęby dymu. Podjeżdżając bliżej zobaczył, iż wydobywa się on z góry o ściętym wierzchołku, na miejscu którego uwił sobie gniazdo ogień. Skręcił gwałtownie w lewo, zbaczając na wiele, wiele mil z trasy, którą wcześniej obrał. Ziemia drżała od czasu do czasu pod kołami. Wokół opadały popioły, ale dymiący stożek został już daleko z tyłu i był ledwo widoczny na prawym ekranie.

Zastanawiał się nad dniami, które już przeminęły, i nad tym co mu przyniosły. Jeśli uda mu się przejechać, zdecydował, poduczy się trochę historii. Parł do przodu, mijając kaniony jak z obrazka, przeprawiając się przez płytkie rzeki. Nikt go nigdy przedtem nie prosił, żeby zrobił coś ważnego i miał nadzieje, że nikt już nigdy tego nie uczyni. Teraz jednak czuł, że potrafi tego dokonać. Chciał tego dokonać. Wokół, płonąć, dymiąc, drżąc, leżała Aleja Potępienia i jeśli nie uda mu się jej pokonać, umrze pół świata, a podwoją się szanse, że pewnego dnia cały świat stanie się taką Aleją. Greg ciągle spał. Spał snem człowieka wyczerpanego fizycznie i psychicznie. Tanner przymrużył oczy, zagryzł wargi i nie dotknął hamulca nawet wtedy, gdy zauważył sunącą po górskim zboczu kamienną lawinę. Zdołał ją ominąć i odetchnął. Ten rozdział był już dla niego zamknięty. Wyszedł bez jednego zadrapania. Jego umysł był powiększającym się pęcherzem o ściankach niczym rejestrujące wszystko wokół ekrany. Poczul prąd powietrza i nacisk wywierany przez pedał gazu na jego stopę. Zaszło mu w gardle, ale to nie miało znaczenia. Kąciki oczu kleiły się, nie otarł ich jednak. Pędził przez zryte kraterami równiny Kansas i wiedział już, że wczuł się całkowicie w swoją rolę i że mu ona odpowiada. Denton, niech go licho, miał racje. Trzeba było to zrobić. Zatrzymał się nad krawędzią przepaści, a potem skierował się na północ. Trzydzieści mil dalej urwisko skończyło się, zawrócił więc i pojechał z powrotem na południe. Greg mamrotał coś przez sen. Brzmiało to jak przekleństwo. Tanner powtórzył je cicho kilka razy i kiedy tylko natknął się na płaski teren, wykręcił znowu na wschód. Słońce stało wysoko na niebie i Tanner miał wrażenie, że unosi się lekki jak piórko w jego promieniach ponad brązową ziemią, podziobaną tu i ówdzie zielonymi szpilkami kielkujących roślin. Zacisnął zęby i wrócił myślami do Denny'ego, który leżał teraz niewątpliwie w szpitalu. Lepiej, że jest tam niż w miejscu, do którego odeszli jego niedawni współtowarzysze. Miał nadzieje, że pieniądze, o których mu powiedział, ciągle jeszcze tam są. Poczul nagle narastający ból w okolicy karku i ramion i dopiero teraz uświadomił sobie jak kurczowo ścisną kierownicę. Zamrugał oczyma i wziął głęboki oddech. Bolały go gałki oczne. Zapalił papierosa. Nie smakował mu, pykał go jednak dalej nie zaciągając się. Popił trochę wody i przyciemnił wsteczny ekran, na którym błyszczało zachodzące słońce. Wtedy właśnie usłyszał dźwięk, przypominający odległy grzmot pioruna i to ponownie obudziło jego czujność. Poprawił się w fotelu i zdjął nogę z pedału gazu.

Zwolnił, zahamował i stanął. Zobaczył je. Siedział nieruchomo i patrzył jak przechodziły o jakieś pół mili przed nim.

Monstrualnej wielkości stado bizonów przecinało drogę, którą jechali. Zanim przeszły, minęło pół godziny. Ogromne, ciężkie, czarne, o spuszczonej łbach, ryjąc

kopytami glebę pędziły z ogłuszającym grzmiotem, który z czasem przetoczył się na północ, cichł, cichł, aż zamarł w oddali.

Kurtyna wzniesionego ich kopytami kurzu ciągle jeszcze wisiała w powietrzu. Tanner zanurzył się w nią, włączając reflektory.

Zastanawiał się, czy zażyć tabletkę pobudzającą, ale zrezygnował z tego. Greg mógł się niebawem obudzić. Nie mógłby zasnąć, gdy zmienia się za kierownicą.

Jechał teraz wzdłuż autostrady. Nawierzchnia wyglądała na nieźle zachowaną, wprowadził więc samochód na szosę i popędził dalej. Po pewnym czasie minął wyblakły drogowskaz głoszący: "TOPEKA-110 MIL".

Greg-ziewnął i przeciągnął się. Przetarł pięciami oczy, dotknął czoła, które po prawej stronie było spuchnięte i pociemniałe.

- Która godzina? - spytał.

Tanner ruchem głowy wskazał zegar na tablicy rozdzielczej.

- Rano, czy po południu?

-Popołudniu.

- O Boże! Spałem prawie piętnaście godzin.

- Coś koło tego.

- Cały czas prowadziłeś?

- Tak.

- Ty dojedziesz. Masz w sobie coś z czarta. Pozwól, że przyjdę do siebie. Za pięć minut de zmienię.

- Dobrze pomyślane.

Greg przeczołgał się na tył pojazdu.

W pięć minut później Tanner dotarł do peryferii wymarłego miasteczka. Jechał główną ulicą, wzdłuż której stały pordzewiałe wraki samochodów. Większość budynków zapadła się. Niektóre z odsłoniętych piwnic wypełniała woda. Po jej powierzchni pływały płaty żółto-zielonej piany. Na rynku miejskim leżały ludzkie szkielety. Nad rosnącymi tam chwastami nie górowało ani jedno drzewo, stały jednak jeszcze trzy słupy telefoniczne, z których jeden, pochylony do przodu, włókł za sobą warkocz pozrywanych przewodów i przypominał gigantyczny widelec, niosący do ust nieistniejącego olbrzyma porcje czarnego spaghetti. Wśród chwastów, na popękany chodniku, stało kilka ławek. Mijając drugą, Tanner zauważył siedzący na niej szkielet człowieka. Drogę zatarasował mu przewrócony słup telefoniczny, objechał więc budynek wkoło. Następna ulica zachowała się nieco lepiej, jednak wszystkie, wychodzące na nią witryny sklepów były rozbite, a nagi manekin zastygł w

usłużnej pozie, wyciągając przed siebie kikut urwanej w łokciu prawej ręki. Na skrzyżowaniu gapiły się na Tannera ślepe oczodoły świateł sygnalizacyjnych.

Skręcając w następną przecznicę, usłyszał, że Greg przesuwa się na przód samochodu.

- No, zmieniamy się - powiedział, przystając za Tannerem.

- Chcę najpierw stąd wyjechać - odparł Tanner i patrzyli w milczeniu dopóki wymarłe miasto nie pozostało daleko za nimi. Dopiero wtedy Tanner zatrzymał wóz.

- Jesteśmy o dwie godziny drogi od miejscowości zwanej kiedyś Topeka. Obudź mnie, jak wpakujesz się w jakąś kabałę.

- Jak było, kiedy spałem? Miałeś jakieś kłopoty?

- Nie - powiedział Tanner, zamknął oczy i zaczął chrapać. Greg prowadził, mając za plecami słońce i zanim dojechał do Topeki zjadł trzy kanapki z szynką, popijając kubkiem mleka.

IX

Obudził Tannera wizg odpalanych rakiet. Przetarł oczy, spędzając sen z powiek i przez prawie pół minuty gapił się nieprzytomnym wzrokiem w przestrzeń.

Zewsząd, niby gigantyczne, zeschłe liście, opadały kołysząc się wielkie chmury. Nietoperze, nietoperze, nietoperze. Były wszędzie. Tanner słyszał kwilenie, piski i skrobanie. Raz po raz któryś z nich zderzał się z samochodem.

- Gdzie jesteśmy? - spytał.

- W Kansas City. Pełno ich tutaj - powiedział Greg i odpalił następną raketę, która wycięła ognisty tunel poprzez spadającą na nich korkociągami horde.

- Oszczędzaj rakiety. Użyj miotaczy ognia - powiedział Tanner, przełączając najbliższy sobie karabin na obsługę ręczną i wyostrzając na ekranie krzyż nitek celownika. - Wal po nich we wszystkich kierunkach przez pięć, sześć sekund. Potem ja wchodzę.

Trysnął płomień, rozkwitając pomarańczowo-kremowymi, ognistymi kwiatami. Gdy zgasł, Tanner zerknął na ekran i nacisnął spust. Zamiatął lufą karabinu w prawo, w lewo i znowu w prawo, dodając do leżących na ziemi zwęglonych ciał nowe sztuki.

- Przejeżdż po nich! - krzyknął do Grega. Samochód, kiwając się na boki, ruszył do przodu. Pod kołami chrupały rozgniatane trupy nietoperzy.

Tanner siekł niebo seriami broni maszynowej, zarzucając gradem pocisków następną falę atakujących z lotu nurkowego stworów.

W nagłym rozbłysku wystrzelonej w górę flary zobaczyli, że krążąc spiralami, zniżają się ku nim miliony postaci o twarzach wampirów.

Tanner przeskakiwał od karabinu do karabinu i nietoperze spadały na ziemię jak ulęgałki.

- Hamuj i grzej z miotacza górnego! - krzyknął i Greg wykonał polecenie.

- Teraz na boki! Potem do przodu i do tyłu!

Wszędzie wokół paliły się ciała, tworząc już stos sięgający poziomu maski samochodu.

- Naprzód! - krzyknął Tanner i Greg wrzucił pierwszy bieg. Parli przez sterty zwęglonych ciał.

Tanner wystrzelił następną flarę.

Nietoperze ciągle były w pobliżu, ale krążyły już wyżej. Tanner załadował karabiny i czekał, lecz zmasowany atak więcej się nie powtórzył. Oddał kilka strzałów na postrach do

paru przelatujących obok stworów. Bitwa była wygrana.

- Tam po lewej, to rzeka Missouri - odezwał się po dziesięciu minutach jazdy. - Jadąc wzdłuż jej brzegu, trafimy do Saint Louis.

- Wiem. Myślisz, że też będzie pełne nietoperzy?

- Chyba tak. Ale jeśli nie będziemy się za bardzo spieszyć i dotrzemy tam za dnia, to nie powinny sprawić nam kłopotu. W Saint Louis możemy pomyśleć nad sposobem przeprawienia się przez Missus Hip.

Ich oczy spoczęły na ekranie wstecznym, gdzie na tle usianego bladymi gwiazdami nieba, podkreślana blaskiem krwawego księżyca, rysowała się ponura sylwetka Kansas City - miasta nietoperzy.

Jakiś czas potem Tanner zasnął ponownie. Śnił, że jedzie wolno na swym motocyklu środkiem szerokiej ulicy, a na chodnikach stoją tłumy ludzi, którzy wiwatują, gdy ich mija. Zewsząd rzucają konfetti, ale kiedy dolatuje do niego, okazuje się, że to mokre, cuchnące śmieci. Dodaje gazu, ale motocykl zwalnia jeszcze bardziej, a ludzie obrzucają go teraz wyzwiskami, wykrzykują obelgi, powtarzają ciągle jego imię. Harley zaczyna się chwiać, ale nie może się podeprzeć nogą, bo jego stopy są jak przyklejone. Motocykl zatrzymuje się i przechyla na prawą stronę. Wie już, że upadnie. Gdy leży na ziemi, tłum rzuca się w jego kierunku i już wie, że zbliża się koniec...

Obudził go wstrząs i zobaczył rozścielający się wokół niego poranek: błyszcząca moneta pośrodku ciemnoniebieskiego obrusu i rząd szklanek wzdłuż krawędzi.

- No, jesteśmy - powiedział Greg. - To Missus Hip. Tanner poczuł się nagle bardzo głodny.

Po spożyciu posiłku, skierowali się w stronę mostu.

- Nie zauważyłem żadnego z twoich nagich ludzi z włóczniami - powiedział Greg. - Mogliśmy oczywiście minąć ich po zapadnięciu zmroku, jeśli w ogóle jacyś tu jeszcze są.

- No i dobrze - odparł Tanner. - Oszczędziliśmy trochę amunicji.

Ich oczom ukazał się most, obwisły i ponury z wyjątkiem miejsc, gdzie słońce złociło liny, na których był zawieszony. Rozciągał się, nie przełamany, nad błyszczącą taflą wody. Przedzierali się powoli w jego kierunku, torując sobie drogę przez zwalone gruzem ulice, klucząc objazdami, gdy drogę tarasowały rzędy rozbitych samochodów, sterty cegieł ze zburzonych budynków, sięgające kanałów ściekowych wyrwy w chodnikach.

Pokonanie półmilionowego odcinka zajęło im dwie godziny i gdy dotarli do przyczółka

mostu było już południe.

- Wygląda na to, że Brady mógł przeprowić się tedy - powiedział Greg, dostrzegając coś w rodzaju przejścia przetartego pomiędzy zawałającymi most od przęsła do przęsła wrakami. - Jak on to zrobił, według ciebie?

- Może miał ze sobą coś do podnoszenia ich i wyrzucania za barierkę. Tam pod mostem, gdzie jest płytko, wystaje z wody parę wraków.

- Były tu, jak ostatnio tedy przejeżdżałeś?

- Nie wiem. Nie dotarłem do samego mostu. Wdrapałem się tylko na to wzgórze, tam za nami - powiedział Tanner wskazując ruchem głowy na ekran wsteczny.

- Tak. Stąd wydaje się, że zdołamy przejechać. Ruszamy.

Wjechali na most i rozpoczęli żmudną przeprawę przez potężną Missus Hip. Były momenty, gdy most trzeszczał pod ich wozem, wzdychał, jęczał i czuli wtedy, że się porusza.

Słońce zniżało się już ku zachodowi, a oni ciągle przedzierali się naprzód, zadrapiując błotniki o krawędzie wraków, używając "skrzydeł" jako pługów. Dopiero po trzech godzinach, pomiędzy filarami przęsła, dostrzegli kraniec mostu.

Gdy koła samochodu dotknęły wreszcie stałego gruntu po drugiej stronie rzeki, Greg, dysząc ciężko, opadł na oparcie fotela kierowcy i zapalił papierosa.

- Chcesz trochę poprowadzić. Czart?

- Dobra. Zamieńmy się.

- Boże! Jestem wykończony! - powiedział Greg, rozwalając się na siedzeniu w pasażerskiej części kabiny.

Tanner prowadzi wóz wśród ruin wschodniego Saint Louis, spiesząc się, aby wyjechać z miasta przed zapadnięciem nocy. W miarę jak posuwali się naprzód, poziom promieniowania ciągle wzrastał, a ulice były coraz bardziej zawałone gruzem i popękane. Sprawdził licznik wskazujący poziom promieniowania w kabinie. Odczyt był dużo niższy od dopuszczalnego.

Jazda przez zniszczone miasto zajęła kilka godzin i kiedy słońce zaszło z tyłu, za nimi, Tanner ujrzał rozlewającą się znowu na północy niebieską zorzę. Niebo jednak pozostawało czyste, usiane gwiazdami i nie widział na jego Ue czarnych linii. Po dłuższym czasie wzeszedł różowy księżyc i zawisł przed nimi. Włączając cichą muzykę, Tanner spojrzął na Grega. Nie wyglądało, żeby mu przeszkadzała.

Jego wzrok przyciągnął przyrząd z tablicy rozdzielczej. Wskazanie poziomu promieniowania ciągle pięło się w górę. Nagle, na przednim ekranie Tanner ujrzał krater i zatrzymał się.

Krater miał z pół mili średnicy, a jego głębokości nie dało się ocenić.

Wystrzelił flarę i w jej świetle przyjrzał się mu przez lornetkę teleskopową

Zdecydował, że łatwiej będzie przejechać, kierując się w prawo, skrzył więc w tę stronę i rozpoczął objazd.

Tu było gorąco! Bardzo, bardzo gorąco! Spieszył się. Pędził. Obserwując rosnące wskazanie licznika promieniowania, zaczął się zastanawiać: jak to było wtedy, tego dnia, gdy rozbłysło tutaj maleńkie słońce, zmagало się z tym na niebie i na chwile przyćmiło je, a potem powoli zaszło do swej nory w ziemi? Próbował to sobie wyobrazić i udało mu się, potem próbował usunąć to z pamięci i nie mógł. Jak stłumić płomienie, które palą się wiecznie? Chciałby to wiedzieć. Było wtedy tyle miejsc, które można było odwiedzać, a on lubił podróżować. Jak to było, kiedy człowiek mógł sobie, gdy tylko chciał, wskoczyć na motocykl i pojechać do innego miasta? I nikt nie wylewał na niego z nieba kubłów z pomyjami? Czuł się oszukany, co nie było dla niego nowym uczuciem, ale teraz kłął dłużej niż zwykle.

Objechawszy wreszcie krater, zapalił papierosa i gdy wskazanie licznika promieniowania zaczęło znowu spadać, uśmiechnął się po raz pierwszy od miesiący.

Po przejechaniu wielu mil zobaczył falujące wszędzie wokół wysokie trawy, a niedługo potem ujrzał pierwsze drzewa.

Były z początku karłowate i poskręcane, ale im bardziej oddalał się od miejsca rzezi, tym stawały się wyższe i prostsze.

Tam na równinach Illinois, rosły drzewa, jakich nigdy przedtem nie widział - wysokie na pięćdziesiąt, sześćdziesiąt stóp, smukłe, przesłaniające gwiazdy.

Jechał pustą, twardą, szeroką drogą i właśnie wtedy poczuł, że chce nią tak jechać zawsze - na Florydę, z jej bagnami, torfowiskami, gajami pomarańczowymi, pięknymi plażami i z Zatoką Meksykańską; aż do zimnego, skalistego Przylądka, gdzie wszystko jest szare i brązowe, gdzie fale rozbijają się u podnóży morskich latami, gdzie sól pali cię w nozdrza i gdzie są cmentarzyki, na których kości leżą od wieków, a stale jeszcze można odczytać nazwiska jakie nosiły, wyryte nad nimi w kamiennych nagrobkach; na południe przez kraj, w którym jak mówią, trawa jest niebieska; potem wzdłuż potężnej Missus Hip, aż do miejsca, gdzie się ona rozwidła i gdzie jest znowu Zatoka Meksykańska pełna małych wysepek, na których dawni piraci ukrywali swoje łupy, i przez porośnięte lasami góry, o których słyszał:

Smokies, Ozarks, Poconos, Catskills; jechać tak przez lasy Shenandoah, zatrzymać się tam, wynająć łódkę i wypłynąć nią na Zatokę Chesapeake; zobaczyć Wielkie Jeziora i miejsce, w którym wody spadają w dół - Niagarę. Jechać zawsze głównymi drogami, żeby

zobaczyć wszystko, żeby chłonąć świat. Tak. Może nie wszędzie jest Aleja Potępienia. Niektóre z tych legendarnych miejsc muszą nadal być czyste, nie skażone, tak jak kraina, która leżała teraz wokół niego. Pożądał jej głodem, ogniem takim, jaki zawsze płonął w jego lędźwiach. Roześmiał się wtedy, bo wydało mu się, że może to mieć.

Muzyka grała cicho, może zbyt rzewnie i wypełniła go.

X

Nad ranem, ciągle jadąc szosą, był już na terenach noszących niegdyś nazwę Indiana. Zabudowania gospodarcze, które teraz mijał, wyglądały na nieźle zachowane i mogli w nich nawet mieszkać ludzie. Miał wielką ochotę to sprawdzić, ale bał się zatrzymać. Po godzinie jazdy, krajobraz zaczął się degenerować.

Trawy były coraz niższe, coraz bardziej wysuszone, wreszcie znikły zupełnie. Gdziekolwiek tylko nagiej gleby trzymało się kurczowo poskręcane drzewo. Poziom promieniowania zaczął znowu wzrastać i z oznak tych Tanner wywnioskował, że zbliża się do Indianapolis, które jako duża metropolia, musiało ulec zniszczeniu.

No i nie mylił się.

Aby je okrążyć, musiał zjechać z trasy daleko na południe. Wrócił z powrotem na szosę w miejscowości o nazwie Martinsville, aby tam przeprowić się przez White River. Znalazłszy się na drugim brzegu, ruszył na wschód i wtedy radio zatrzeszczało i przemówiło przytłumionym głosem, powtarzając wezwanie:

- Niezidentyfikowany samochód, zatrzymać się!

Tanner przełączył wszystkie skanery na zasięg teleskopowy. Daleko przed sobą, na szczycie wzgórza, dostrzegł człowieka z lornetką i krótkofalówką. Nie potwierdził odbioru transmisji i pędził dalej.

Gnał środkiem znajdującego się w przyzwoitym stanie pasa autostrady, zwiększając stopniowo szybkość z czterdziestu do pięćdziesięciu pięciu mil na godzinę, chociaż protesty opon kaleczonych o popękaną nawierzchnie były tak głośne, że obudziły Grega.

Tanner nie odrywał wzroku od szosy, gotowy w każdej chwili do odparcia ataku, a radio, głośniejsze teraz, gdy zbliżyli się do wzgórza, powtarzało bez ustanku wezwanie do zatrzymania się i żądało potwierdzenia odbioru.

Wszedł w łagodny zakręt kładąc stopę na hamulcu i nie odpowiadając Gregowi, który chciał wiedzieć co się stało.

Ujrzawszy tarasujący drogę czołg z wielkim działem skierowany wprost na niego, zareagował natychmiast.

Podczas gdy oczy szukały luki, którą mógłby się prześliznąć i znalazły ją, prawa ręka odpaliła trzy rakiety przeciwpancerne, lewa skręciła kierownicę w stronę przeciwną do ruchu wskazówek zegara, a stopa spadła ciężko na pedał gazu.

Czołg wypalił z działa, ale samochód był już lewymi kołami poza szosą i podskakując

na nierównościach terenu pędził poboczem, wzdłuż krawędzi przydrożnego rowu. Ognisty pocisk chybił celu.

Ominąwszy blokującą drogę czołg, Tanner wprowadził wóz z powrotem na szosę i przyspieszając pomknął przed siebie. Ścigały go serie z broni maszynowej. Greg posłał po jednym granacie na prawo i na lewo, a potem otworzył ogień z pięćdziesiątek. Oddaliwszy się na ćwierć mili od zasadzki, Tanner, nie zmniejszając szybkości, podniósł mikrofon, powiedział: "Przepraszam za to co się stało. Hamulce mi nawaliły" i odwiesił go z powrotem. Odpowiedź nie nadeszła.

Gdy tylko znaleźli się na otwartej przestrzeni, zapewniającej dobrą widoczność na wszystkie strony, Tanner zatrzymał wóz i za kierownicą usiadł Greg.

- Jak myślisz, skąd mieli takie uzbrojenie?
- Kto ich tam wie.
- A dlaczego nas zatrzymywali?
- Nie wiedzieli co wieziemy... A może chodziło im o nasz samochód.
- Psiakrew! Piekielny sposób sobie wynaleźli, żeby go zdobyć.
- Jeśli oni nie mogli go mieć, to dlaczego my mielibyśmy go sobie zatrzymać?
- Znasz ich sposób myślenia, prawda?
- Znam.
- Masz, zapal.

Tanner skinął głową i przyjął od Grega papierosa.

- Było gorąco, co?
- Nie będę się spierał.
- ... Mamy jeszcze przed sobą kawał drogi.
- Tak, i dlatego ruszajmy.
- Mówiłeś niedawno, że nie wierzysz, że uda nam się dojechać.
- Zrewidowałem swoją opinię. Teraz myślę, że dojedziemy.
- Po tym wszystkim przez co przeszliśmy?
- Mimo wszystko przeszliśmy przez to.
- Co nas jeszcze czeka na trasie?
- Tego nie wiem.
- - Ale z drugiej strony, wiemy czego możemy się spodziewać tam, skąd przyjechaliśmy. Wiemy teraz jak uniknąć wielu z tych niebezpieczeństw. Tanner skinął głową.
- Próbowałeś raz nawiać. Teraz de za to nie winie.

- Zaczynasz się bać, Greg?

- Nic nie będę wart dla mojej rodziny jeśli zginę.

- No to po co zgodziłeś się jechać?

- Nie wiedziałem, że tak będzie. Ty byłeś rozsądniejszy, bo wiedziałeś czego się można spodziewać.

- Wiedziałem.

- Jeśli nie dojedziemy, nikt nie może nas za to winić. Mimo wszystko próbowaliśmy.

- A co z tymi ludźmi z Bostonu, o których wygłosiłeś mowę?

- Oni do tej pory już chyba nie żyją. Epidemia nie będzie czekać, no nie?

- A co z tym gościem Bradym? Umarł, żeby przynieść nam wieści.

- Próbował i Bóg mi świadkiem doceniam to. ale my straciliśmy już trzech kumpli.

Czy teraz mamy tę liczbę powiększyć do pięciu tylko po to, żeby pokazać, że wszyscy próbowaliśmy?

- Greg, jesteśmy teraz dużo bliżej Bostonu niż LA. W zbiornikach powinno być tyle paliwa, abyśmy dojechali tam, gdzie mamy dojechać, ale nie starczy nam już na drogę powrotną.

- Możemy zatankować w Salt Lake.

- Nie jestem nawet pewien, czy wystarczyłoby nam do Salt Lake.

- Zaraz, zaraz, to łatwo wyliczyć. Jeśli jednak nawet by nam nie wystarczyło, to ostatnie sto mil moglibyśmy przejechać na motocyklach. Zużywają dużo mniej benzyny.

- I ty jesteś tym facetem, który obrzucał mnie wyzwiskami? I ty jesteś tym obywatelem, który zastanawiał się skąd się biorą tacy ludzie jak ja? I ty mnie pytałeś, co oni mi takiego zrobili? Odpowiedziałem ci wtedy "Nic", a teraz może to ja chce coś zrobić dla nich. Tylko dlatego, że tak mi się podoba. Dużo przemyślałem.

- Nie masz na głowie rodziny, Czart. Ja, oprócz siebie, mam innych ludzi, o których muszę się martwić.

- Masz uroczy sposób odwracania kota ogonem, gdy chcesz skrewić. Mówisz: "Nie boje się ale mam matkę, braci i siostry, którymi muszę się opiekować i dziewczuszkę, na którą mam ochotę. Tylko dlatego się wycofuje. Nie ma innych powodów".

- Bo to prawda! Nie rozumiem cię, Czart! Wcale cię nie rozumiem! Przecież to ty wbiłeś mi to do głowy!

- No to teraz wybij to sobie z niej i ruszajmy.

Dostrzegł kątem oka, że ręka Grega sunie w stronę wiszącego na drzwiach kabiny karabinu, cisnął mu więc papierosem w twarz i zdołał uderzyć go raz w żołądek - słaby

cios z lewej ręki, ale najlepszy jaki mógł zadać z tej pozycji.

Greg rzucił się na niego i Tanner poczuł, że jest przygnieciony do swego fotela. Mocowali się w milczeniu, a palce Grega pełzły powoli do jego twarzy, w kierunku oczu.

Tannerowi udało się wreszcie oswobodzić ręce, złapał Grega za głowę i robiąc półobrót, odepchnął go z całej siły od siebie.

Greg uderzył o tablice rozdzielczą, zeszytywniał, po czym jego ciało zwiotczało.

Tanner chwycił go za włosy i jeszcze dwa razy grzmotnął jego głową o tablice po to tylko, aby mieć pewność, że nie spieprzył roboty. Potem odepchnął bezwładne ciało i wrócił na fotel kierowcy. Łapiąc oddech sprawdził wszystkie ekrany. Nic mu na razie nie zagrażało.

Wy dobył sznur ze skrzyni z narzędziami i wykręcając Gregowi ręce do tyłu, skrępował je w łokciach i przeciągnął linkę do nadgarstków. Potem przechylił częściowo fotel, posadził na nim Grega i przywiązał go do niego.

Wrzucił bieg i ruszył w stronę Ohio.

W dwie godziny później Greg zaczął jęczeć i Tanner włączył muzykę, żeby go zagłuszyć. Znowu pojawił się sielski krajobraz: trawy i drzewa, zielone pola, sady jabłoniowe, w których jabłka były jeszcze małe i zielone, białe zabudowania farmerskie, brązowe i czerwone stodoły pobudowane daleko od szosy, którą jechał.

Falujące na wietrze rzędy zielonej kukurydzy o wykształconych już brązowych kitkach, najwyraźniej otaczane przez kogoś opieką; ogrodzenia ze sztachet; zielone żywopłoty; wysokie, gwiazdolistne klony; świeżo odmalowane znaki drogowe; kryta zielonym gontem wieża, z której dochodziło bicie dzwonu.

Linie na niebie poszerzyły się, ale samo niebo nie pociemniało, jak to zwykle czynić przed burzą. Pędząc tak szosą, dotarł w południe do Dayton Abyss.

Zatrzymał się przed zasnutym mgłą kanionem i spojrzał w dół. Potem rozejrzał się na prawo i lewo, zdecydował, że pojedzie w lewo i skierował się na północ.

Poziom promieniowania znowu był wysoki, spieszył się więc, zwalniając jedynie przy omijaniu szczelin, przepaści i rozpadlin, wydzielających się z mrocznej otchłani kanionu głównego. Z niektórych sączyły się gęste, żółte opary. W pewnej chwili spowiły go zewsząd lepka, siarkową chmurą. Rozwiał ją dopiero lekki wietrzyk, który zerwał się na moment i ucichł. I wtedy odruchowo uderzył po hamulcach. Samochód szarpnął i stanął, a Greg znowu zajęczał. Tanner patrzył przez chwile szeroko otwartymi oczami na to, co nagle przyciągnęło jego wzrok, potem ruszył wolno naprzód.

Widok ten nie powtórzył się już więcej, ale niełatwo było wymazać go z pamięci i

Tanner nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że gdzieś już to widział. Tam, niedaleko Abyss, natknął się na poźółkły, szczerzący w uśmiechu zęby, ukrzyżowany szkielet. Ludzie, pomyślał. To wyjaśnia wszystko.

Kiedy wydostał się z rejonu mgieł, niebo było ciągle ponure i przez jakiś czas nie zdawał sobie sprawy, że znajduje się znowu na otwartej przestrzeni. Okrążenie Dayton zabrało mu prawie cztery godziny. Pędził teraz przez zryte pociskami wrzosowiska, kierując się znowu na wschód. Z nurtów rwącej po niebie czarnej rzeki wyjrzał na chwile cieniutki sierp słońca, daremnie próbującego wspiąć się na jej północny brzeg.

Reflektory przełączone były na największą jasność i Tanner, zdając sobie sprawę z tego, co może za chwile nastąpić, rozglądał się za jakimś schronieniem.

Na wzgórzu stała stara stodoła, skręcił więc w tamtą stronę. Jedna ściana groziła zawaleniem, a wrota, wyrwane z zawiasów, leżały na ziemi, wjechał jednak ostrożnie do środka. Wnętrze wyglądało w świetle reflektorów na zawilgocone i zapleśniałe. W rozwalonym boksie leżał szkielet konia.

Zatrzymał wóz, wyłączył reflektory i czekał.

Niebawem znowu rozległo się zawodzenie, zagłuszając jęki wydawane od czasu do czasu przez Grega. Potem dał się słyszeć inny dźwięk, nie tak ogłuszający jak ten, który pamiętał z LA., a łagodny raczej, jednostajny, cichy pomruk.

Uchylił drzwiczki samochodu, żeby lepiej słyszeć. Nic go nie zaatakowało, wysiadł więc z kabiny i przeciągnął się. Poziom promieniowania był prawie normalny, toteż nie zadawał sobie trudu, aby naciągnąć skafander ochronny. Podeszedł do leżących na ziemi wrót i wyjrzał na zewnątrz. Zza pasa sterczał mu pistolet.

Z nieba spadało kroplami coś szarego, a spoza czarnego pasma na niebie wychylił się ponownie skrawek słońca.

Padał deszcz, zwykły, normalny deszcz. Tanner nigdy jeszcze nie widział deszczu, stał więc, paląc papierosa i patrzył z zaciekawieniem na lecące z nieba krople. Poza pasmami czerni niebo było ciągle sinawe.

Deszcz. Po framudze, o którą opierał się lewym ramieniem ściekało kilka wąziutkich strużek. Przypadkowy powiew wiatru dmuchnął mu w twarz paroma kropelkami i wtedy przekonał się, że to tylko woda. Na zewnątrz tworzyły się kałuże. Wrzucił do jednej z nich kawałek drewnianka i patrzył w zadumie, jak pływało kołysząc się pod wpływem trafiających je kropel. Gdzieś pod dachem stodoły słyhać było ptasie głosy. W nozdrza bił słodkawy zapach gnijącej słomy. Na podwórzu, pod ścianą stała zardzewiała młockarnia. Z góry opadło kilka piór. Złapał jedno w locie i przyjrzał mu się uważnie. Było lekkie, ciemne, puszyste i

usztynione żeberkami. Nigdy przedtem nie przyglądał się tak piórom. Sposób, w jaki poszczególne żeberka zachodziły na siebie, przywodziły mu na myśl zamek błyskawiczny. Puścił je i porwane wiatrem zniknęło gdzieś za jego plecami. Wyrzał znowu na zewnątrz i popatrzył po swoich śladach. W tym co spadało teraz na ziemię można było chyba jechać, poczuł jednak nagle jak jest zmęczony. Znalazł jakąś beczkę, usiadł na niej i zapalił następnego papierosa.

Jak dotąd wszystko szło dobrze. Przyłapał się na tym, że myśli o ostatnich etapach tego koszmarnej rajdu. Nie mógł już ani przez chwilę ufać Gregowi, przynajmniej dopóki nie znajdą się tak daleko, że nie będzie drogi odwrotu. Wtedy będą tak bardzo potrzebni sobie nawzajem, że zaryzykuje i uwolni go. Miał nadzieję, że mu znowu coś nie odbije. Nie wiedział, co im jeszcze szykuje Aleja. Jeśli jednak dalej burze stracą na gwałtowności, to będzie to już duże ułatwienie.

Siedział tak dłuższy czas, czując na twarzy chłodną, wilgotną bryzę. Gdy wrócił w końcu do samochodu i zapuścił silnik, deszcz niemal już ustał. Wycofując się na wstecznym biegu ze stodoły, zauważył, że Greg jest ciągle nieprzytomny. To nie wróżyło nic dobrego.

Prowadząc jedną ręką zażył tabletkę pobudzającą, aby odpędzić sen i zjadł kilka racji żywnościowych. Deszcz ciągle padał, nie był już jednak tak rzęśisty. Siąpiło z zasnutego chmurami nieba przez całą drogę przez Ohio. Granice Zachodniej Wirginii przekroczył w miejscowości zwanej Parkersburg, po czym skręcił nieco na północ. Szary dzień ustąpił miejsca czarnej nocy.

Nie miał już kłopotów z nietoperzami. Nie było ich tutaj. Mijał jednak trochę więcej kraterów i poziom promieniowania wskazywany przez licznik wzrósł. Przez pewien czas, wyjąc i ujadając, ścigała go sfora ogromnych, zdziczałych psów. Biegły po obu stronach samochodu, starając się złapać zębami za opony, ale w końcu zostały z tyłu. Mijając kolejną, wznoszącą się po lewej stronie górę, która wyrzucała ze swego wnętrza kłęby jasnego dymu, słyszał niski, jednostajny pomruk i czuł pod kołami drżenie gruntu. Z nieba opadały popioły. Wjechał na tereny nawiedzone powodzią. Silnik krztusił się i gasł dwa razy, za każdym jednak razem zapalał go ponownie i parł dalej. Wzburzona woda z pluskiem omywała burty samochodu. Dotarł wreszcie do wyżej położonych, suchszych okolic. Tam znowu próbowali zagrozić mu drogę ludzie uzbrojeni w karabiny. Ostrzelał ich z broni maszynowej, cisnął granat i wyminął blokadę. Kiedy wszedł zamglony księżyc i rozproszył nieco panujące ciemności, zaatakowały go czarne ptaki, które krążąc w powietrzu raz po raz nurkowały na samochód. Zignorował je i po pewnym czasie i one pozostały daleko w tyle.

Prowadził dopóki nie poczuł się znowu zmęczony. Posilił się wtedy i zażył tabletkę

pobudzającą. Był już w Pensylwanii i czuł, że jeśli tylko Greg przyjdzie do siebie, uwolni go i odda mu kierownicę. Zatrzymali się po raz drugi, żeby odwiedzić latrynę, pociągnął silnie za złoty kolczyk wpięty w lewe ucho, wysmarkał nos, podrapał się po brodzie, potem zjadł jeszcze kilka racji żywnościowych i ruszył w dalszą drogę.

We wszystkich mięśniach zaczął narastać ból i miał wielką ochotę zatrzymać się i odpocząć, obawiał się jednak tego, co może go spotkać jeśli to uczyni.

Gdy przejeżdżał przez następne wymarłe miasto, zaczęło znowu padać. Nie był to rzęsyty deszcz - po prostu drobny kapuśniaczek wywołujący uczucie chłodu i przygnębienia. Zatrzymał wóz pośrodku rogi przed czymś, w co omal nie wjechał i patrzył ze zgrozą.

Z początku myślał, że to czarne linie na niebie. Stał tylko dlatego, że ich pojawienie wydało mu się zbyt nagłe.

To była sieć pajęcza o pasmach grubszych niż jego ramie, rozpostarta pomiędzy dwoma chylącymi się ku upadkowi budynkami.

Włączył przedni miotacz i zaczął ją przepalać.

Gdy płomień zgasł, dostrzegł spuszcający się gdzieś z wysoka ciemny kształt.

To był pająk, większy od człowieka, spieszący sprawdzić przyczynę zaburzenia.

Tanner uniósł w górę wyrzutnie rakiet i celując starannie ugodził potwora rozżarzoną do białości pociskiem.

Pająk zwisał na drgającej sieci i kopał w agonii kosmatymi kończynami.

Tanner włączył znowu miotacz ognia i grzał z niego przez pełne dziesięć sekund. Gdy płomień zamarł, droga przed nim stała otworem.

Przejechał na pełnym gazie, całkiem już rozbudzony i czujny. Zapomniał o bólu w mięśniach. Gnał jak mógł najszybciej, starając się otrząsnąć z obrzydzenia i walcząc z ogarniającą go falą mdłości.

Przed nim, po prawej, dymiła kolejna góra. nie dostrzegł jednak płomieni i gdy ją mijał, stwierdziła ulgą, że opad popiołu jest niewielki.

Zaparzył sobie kawy i wypił kubek. Wkrótce zaczęło świtać i wpadł w pełnym pędzie w budzący się dzień.

XI

Ugrzązł w błocie gdzieś we wschodniej Pensylwanii i kłął na czym świat stoi. Greg był bardzo blady. Słońce zbliżało się do zenitu. Opadł zrezygnowany na oparcie fotela i zamknął oczy. To było już ponad jego siły.

Zasnął.

Obudziło go bębnienie o burtę samochodu. Czuł się jeszcze gorzej niż przed zaśnięciem. Ręce powędrowały automatycznie do klawiszy sterowania ogniem i "skrzydłami", a oczy spoczęły na ekranach.

Zobaczył starca, któremu towarzyszyło dwóch młodszych mężczyzn. Byli uzbrojeni, ale stali na wprost lewego skrzydła, mógł ich więc w razie czego przeciąć w mgnieniu oka na pół.

Włączył głośnik zewnętrzny i wzmacniacz akustyczny.

- Czego chcecie? - zachrypiał na zewnątrz samochodu jego głos.
- Nic ci nie jest? - zawołał starzec.
- Właściwie nic. Obudziliście mnie.
- Utknąłeś?
- Coś w tym rodzaju.
- Mam zaprzęg mułów, którym dałbym może radę cię wyciągnąć, ale nie sprowadzę ich tutaj wcześniej jak jutro rano.
- Świetnie! - ożywił się Tanner. - To by mi odpowiadało.
- Skąd jesteś?
- Z LA.
- Co to jest? .
- Los Angeles. Zachodnie Wybrzeże. Zaczęli się naradzać przyciszonymi głosami.
- Jesteś daleko od domu. Mister - odezwał się wreszcie starzec.
- Sam to wiem...Słuchaj, jeśli poważnie mówisz o tych mułach, to cholernie by mi to odpowiadało. To pilne.
- Dlaczego pilne?
- Wiecie coś o Bostonie?
- Wiem. że to gdzieś tam.
- No właśnie. Wybuchła tam epidemia. Umierają ludzie. Wiozę tu ze sobą lekarstwo, które może ich ocalić, jeśli uda mi się tam dojechać. Znowu zaczęli się naradzać.

- Pomożemy ci - powiedział w końcu starzec. Boston jest dla nas bardzo ważny. Wyciągniemy cię z tego błota. Pójdiesz z nami?

- A dokąd? Kim właściwie jesteście?

- Nazywam się Samuel Potter, a to są moi synowie Roderick i Caliban. Sześć mil stąd jest moja farma. Zapraszamy cię na nocleg.

- Nie chodzi o to, żebym wam nie ufał - odparł Tanner. - Ja po prostu nie ufam nikomu i nie zrozumcie mnie źle. Ostatnio za dużo do mnie strzelano, żebym ryzykował.

- No, a jeśli odłożymy nasze karabiny? Możesz nas chyba stamtąd zastrzelić, prawda?

- Prawda, mogę.

- No więc stojąc tutaj, sami ryzykujemy. Chcemy ci pomóc. Dużo stracimy, jeśli kupcy z Bostonu przestaną przyjeżdżać do Albany. Jak jest tam z tobą ktoś jeszcze, to może cię ubezpieczać.

- Poczekajcie chwileczkę - powiedział Tanner i otworzył drzwiczki. Potrząsnął wyciągniętą ręką starca i wymienił uściski dłoni z jego synami.

- Jest tu gdzieś doktor? - spytał.

- W osiedlu - jakieś trzydzieści mil na północ.

- Mój towarzysz jest ranny. Chyba potrzebuje doktora - wskazał za siebie na kabinę. Sam podszedł do wozu i zajrzał do środka.

- Dlaczego jest związany? - zapytał.

- Odbiło mu coś i musiałem go obezwładnić. Związałem go dla własnego bezpieczeństwa, ale teraz nie za dobrze wygląda.

- Sporządzimy mu nosze. Zamkniesz samochód i moi chłopcy zaniosą go do domu. Poślemy kogoś po doktora. Sam nie za dobrze wyglądasz. Pewnie chciałbyś się wykapać, ogolić i przespać w czystym łóżku.

- Nieszczególnie się czuje - przyznał Tanner. - Zróbmy lepiej szybko te nosze, bo niedługo będą potrzebne drugie.

Przysiadł na błotniku i palił papierosa, a Potterowie ścieli tymczasem drzewka i odarli je z kory. Spłynęła na niego fala zmęczenia i z trudem unosił ciężkie jak ołów powieki. Miał wrażenie, że stopy są gdzieś daleko, daleko od niego. Bolały go ramiona. Oparł się plecami o maskę, papieros wypadł mu z palców.

Ktoś poklepał go po nodze.

Zmusił się do otwarcia oczu i spojrzał półprzytomnie w dół.

To był Potter.

- Rozwiązaliśmy twego kolegę i położyliśmy go na noszach - oznajmił. - Zamknij

samochód i pójdziemy-

Tanner skinął głową i zeskoczył z błotnika. Zapadł się po kolana w błocie, ale zamknął drzwiczki na klucz i słaniając się na nogach podszedł do starca.

Ruszyli naprzód i z czasem ruchy Tannera stały się mechaniczne.

Samuel Potter, krocząc na czele pochodu z karabinem spoczywającym w zgięciu ramienia, gadał nieustannie. Być może po to, by nie dać Tannerowi zasnąć.

- To niedaleko, synu, i zaraz będzie się zupełnie nieźle szło. Mówiłeś, że jak się nazywasz?

- Czart - odparł Tanner.

- Że jak?

- Czart. Nazywam się Czart. Czart Tanner. Sam Potter zachichotał.

- To imię nasuwa pewne skojarzenia. Mister. Jeśli nie będziesz miał nic przeciwko temu, to przedstawię cię mojej żonie i dzieciakom jako Mister Tannera, dobrze?

- Może być - westchnął Tanner, wyciągając buty z błota przy akompaniamencie głośnego cmokania.

- Bardzo by nam brakowało tych kupców z Bostonu. Mam nadzieje, że zdążysz na czas.

- A co oni takiego robią?

- Zaopatrują sklepy w Albany i dwa razy do roku organizują jarmarki - na wiosnę i na jesieni. Dostarczają wszystko co nam potrzebne - igły, nici, pieprz, kotły, patelnie, nasiona, karabiny i amunicje. Oprócz tego jarmarki to wielki festyn. Na drodze do Bostonu pomoże ci większość ludzi. Miejmy nadzieje, że dojedziesz. Na dobry początek wyciągniemy cię z błota.

Tak rozmawiając, dotarli na wyżej położone, suchsze tereny.

- Chcesz przez to powiedzieć, że droga dalej będzie łatwa?

- No nie. Ale pokaże ci wszystko na mapie i powiem czego się masz wystrzeżać.

- Mam przy sobie własną mapę - powiedział Tanner. Wspięli się na szczyt wzgórza i w oddali dostrzegł zabudowania farmy.

- To twój dom?

- Tak. Teraz już niedaleko. Łatwo się idzie. Jak się zmęczyłeś, to wesprzyj się na moim ramieniu.

- Chyba tak zrobię - zgodził się Tanner. - Wszystko przez to, że brałem za dużo tabletek pobudzających, żeby nie zasnąć. Teraz zaczyna się odbijać brak snu, ale dojdę do siebie.

- Zaraz pójdiesz spać. A jak się obudzisz, usiądziemy nad mapą i zaznaczysz sobie na

niej wszystkie miejsca, o których ci powiem.

- Niezła scenka - mruknął Tanner, kładąc rękę na ramieniu Pottera - niezła scenka - powtórzył i powlókł się obok starego zataczając się jak pijany.

Po zamglonej wieczności zobaczył przed sobą dom, potem drzwi. Drzwi otwarły się i poczuł, że leci twarzą naprzód i upadł.

XII

Sen. Czerń, dalekie głosy, znowu czerń. Gdziekolwiek leżał, było miękko, przewrócił się więc na drugi bok i znowu zapadł w sen.

Kiedy w końcu wszystko zlało się z powrotem w logiczną całość i kiedy otworzył oczy, przez okno z prawej wpadał strumień światła, kładąc się jasnymi prostokątami na pikowanej kołdrze, pod którą tężał.

Ziewnął, przeciągnął się, przetarł oczy i podrapał się w brodę.

Z zaciekawieniem rozejrzał się po pokoju. Wyfroterowana, drewniana podłoga z rozrzuconymi na niej niebiesko czerwonoszarymi, tkanymi ręcznie dywanikami, toaletka z białą, emaliowaną miednicą, obtłuczoną w paru miejscach, z tyłu lustro wiszące na ścianie i dalej: fotel na biegunach, stojący pod oknem z siedzeniem przykrytym poduszką z jakimś nadrukiem, mały stoliczek pod drugą ścianą z wsuniętym pod niego krzesłem, a na stoliczku książki, papier, pióro i kałamarz. Nad stoliczkiem, na ścianie, ręcznie haftowana makatka prosząca "Boże Pobłogosław", na drugiej ścianie niebiesko-zielona fotografia wodospadu.

Usiadł na łóżku i stwierdzając, że jest nagi, rozejrzał się za ubraniem. Nie było go nigdzie.

Gdy tak siedział, wahając się, czy zawołać kogoś, czy nie, drzwi otworzyły się i do izby wszedł Sam. Trzymał na ręku ubranie Tannera, czyste i starannie złożone, a w drugim niósł jego buty, wypolerowane do połysku.

- Usłyszałem, że się ruszasz - powiedział. - Jak się czujesz?

- Dziękuję, dużo lepiej.

- Przyszykowaliśmy już wannę. Wlejemy jeszcze parę wiader wrzątku i gotowe. Każe chłopcom przynieść ją za chwilę, razem z mydłem i ręcznikami.

Tanner zagryzł wargę, nie chcąc jednak sprawiać przykrości swemu dobroczyńcy, skinął głową i zmusił się do uśmiechu.

- To mi dobrze zrobi.

- ... A maszynka do golenia i żyłtka, jeśli byś ich potrzebował, są tam, na toaletce. Tanner znowu skinął głową. Sam położył jego ubranie na fotelu bujanym, obok na podłodze postawił buty i wyszedł z izby.

W chwili potem Roderick i Caliban wnieśli wannę i postawili ją na rozesłanych na podłodze dywanikach.

- Jak się czujesz? - spytał jeden z nich (Tanner nie był pewien który jest który).

Obydwaj gracji mieli tyle co strach na wróble, a ich usta wypchane były pełnymi garniturami białych zębów).

- Bardzo dobrze - odparł uprzejmie.

- Musisz być strasznie głodny - odezwał się drugi. - Przespałeś całe wczorajsze popołudnie, całą noc i większość dzisiejszego poranka.

- Co ty powiesz? - zdziwił się Tanner. - A co z moim kolegą? Ten z braci, który stał bliżej Tannera, potrząsnął głową.

- Ciągłe śpi i wymiotuje - powiedział. - Niedługo będzie tu doktor. Nasz młodszy brat polecił po niego w nocy. Odwrócili się, żeby wyjść i ten, który mówił ostatni, dodał:

- Jak tylko się wykąpiesz, mamusia przygotuje ci coś do zjedzenia. Cał i ja idziemy teraz wyciągnąć twój grata z błota. Tatuś powie ci przy śniadaniu jak jechać dalej.

- Dzięki.

- Dobrego ranka.

- Nawzajem.

Wyszli zamykając za sobą drzwi.

Tanner wstał i podszedł do lustra.

- Tylko ten jeden raz - mruknął przeglądając się.

Obmył twarz, przystrzygł brodę i podciął sobie włosy.

W końcu, zgrzytając zębami, wszedł do wanny, namydlił całe ciało i zaczął się szorować. Pod mydlinami woda robiła się coraz bardziej szara i pienista. Wstał z pluskiem, wytarł się do sucha ręcznikiem i wdział ubranie.

Było nakrochmalone, szeleściło cichutko przy wkładaniu i zalatywało lekko środkiem odkażającym. Tanner uśmiechnął się do swego ciemnookiego odbicia w lustrze i zapalił papierosa. Potem przyczesał włosy i znowu spojrział w lustro nie poznając siebie samego. Przyglądał się nieznajomemu krytycznym wzrokiem.

- Cholera! Jestem piękny! - zachichotał, po czym podszedł do drzwi, otworzył je i wkroczył do kuchni.

Sam siedział przy stole i popijał z filiżanki kawę, a jego żona niska, tęga, ubrana w szarą, długą spódnicę, była odwrócona plecami i pochylała się nad piecem. Obejrzała się i wtedy zobaczył, że ma dobroduszną twarz o puciołowatych, czerwonych policzkach z dołeczkami i niewielką białą blizną pośrodku czoła. Brązowe włosy, poprządkane siwymi pasmami, upięte były z tyłu głowy w węzeł.

- Dzień dobry - powiedziała z uśmiechem i skinęła głową.

- Dzień dobry - przywitał ją Tanner. - Przepraszam, ale zostawiłem trochę bałaganu w

moim pokoju.

- Nic nie szkodzi - odezwał się Sam. - Usiądź sobie. Za chwile podamy ci śniadanie. Chłopcy mówili ci o twoim przyjacielu? Tanner skinął głową.

- Żona ma na imię Suzan - powiedział Sam, gdy kobieta stawiała przed Tannerem filiżankę gorącej kawy.

- Miło mi - powiedział Tanner.

- Halo.

- No wiec, mam tutaj twoją mapę. Zobaczyłem, że wystaje ci z kurtki. Tam obok drzwi wisi też twój rewolwer. Zastanawiałem się trochę i doszedłem do wniosku, że najlepiej będzie jak najpierw pojedziesz do Albany, a stamtąd dalej - starą Trasą Numer 9, która jest w zupełnie niezłym stanie. - Rozpostarł mapę i wodził po niej palcem. - Chciałem de jednak ostrzec, że nie będzie to taka znowu wycieczka, ale to chyba najpewniejsza i najszybsza droga...

- Śniadanie - powiedziała żona Sama, odsuwając na bok mapę i stawiając przed Tannerem talerz pełen jajeczniczy na bekonie i parówek, a obok drugi z czterema kromkami chleba. Na stole zjawiała się wkrótce marmolada, dżem, galaretka i masło. Tanner zabrał się do jedzenia i popijając kawą wypełniał pustkę panującą w jego żołądku, a Sam tymczasem mówił.

Opowiadał o gangach, które grasują między Bostonem a Albany na motocyklach i rabują wszystko co się da. Z tej przyczyny większość transportów szła pod konwojem uzbrojonej straży.

- Ale w tym swoim gracie nie musisz się nimi przejmować, co? - zapytał Sam.

- Miejmy nadzieje - odparł Tanner i jadł łapczywie dalej.

Zastanawiał się, czy te gangi to coś w rodzaju jego starej bandy. Dla ich i swojego dobra wolał, aby tak nie było. , Podnosząc do ust filiżankę, usłyszał dochodzące z zewnątrz głosy.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i do kuchni wpadł chłopiec. Tanner ocenił go na jakieś dziesięć do dwunastu lat. Za nim wszedł starszy mężczyzna, z tradycyjną, czarną torbą.

- Jesteśmy! Jesteśmy! - wołał chłopiec. Sam wstał i podał przybyłemu rękę. Tanner pomyślał sobie, że wypadałoby zrobić to samo. Otarł usta i ściskając dłoń mężczyzny powiedział:

- Mój kolega dostał jakiegoś ataku szału. Rzucił się na mnie i musiałem z nim walczyć. Odepchnąłem go i walnął głową o tablice rozdzielczą.

Doktor skinął głową. Był to ciemnowłosy mężczyzna dobijający już pięćdziesiątki. Z

pooranej zmarszczkami twarzy wyzierały znużone oczy.

- Zaprowadzę cię do niego - zwrócił się do doktora Sam i powiódł go do drzwi w głębi kuchni.

Tanner poprawa się na krześle i wziął do ręki ostatnią kromkę chleba. Skinieniem głowy podziękował Suzan, która dołała mu kawy.

- Mam na imię Jerry - powiedział chłopiec, sadowiac się na krześle opuszczonym przez chwile przez ojca. - Czy naprawdę nazywasz się Czart?

- Przestań! - zgromiła go matka.

- Niestety tak - odparł Tanner.

- ... I przejechałeś przez całe Stany Zjednoczone? Przez Aleje?

- Aż dotąd.

- Jak tam było?

- Tak sobie.

- A co widziałeś?

- Wielkie jak ta kuchnia nietoperze - po tamtej stronie Missus Hip - niektóre nawet większe. Dużo ich było w Saint Louis.

- I co z nimi zrobiłeś?

- Strzelałem do nich, paliłem je, rozjeżdżałem...

- Co jeszcze widziałeś?

- Potwory Gila. Ogromne jaszczury, jak w technikolorze - wielkości stodoły. Pyłowe Diabły - wielkie wirujące wiatry, które wessały nam jeden samochód. Góry o ognistych wierzchołkach. Zarośla o wielkich kolcach, które musiałem spalić. Jechałem przez parę burz, jechałem przez okolice, gdzie ziemia była jak szkło, jechałem przez tereny, gdzie ziemia drżała, okrążałem ogromne kratery, wszystkie radioaktywne...

- Żeby to ja mógł tak kiedyś pojechać.

- Może kiedyś pojedziesz.

Tanner skończył jeść, zapala papierosa i popijał małymi łyчками kawę.

- Bardzo dobre śniadanie - pochwalił. - Dawno takiego nie jadłem. Dzięki. Suzan uśmiechnęła się.

- Jeny, daj panu spokój - powiedziała do syna.

- Niech się pani nie przejmuję. Nie przeszkadza mi.

- Co za pierścień masz na palcu? - spytał Jerry. - Wygląda jak wąż.

- Bo to wąż - odparł Tanner. - Czyste srebro ze szklanymi oczkami. Dostałem go w miejscowości zwanej Tijuana. Masz. Weź go.

- Nie mogę go przyjąć - powiedział chłopiec, spoglądając prosząco na matkę. Potrząsnęła głową. Dostrzegając to, Tanner powiedział:

- Twoja rodzina zadała sobie wiele trudu, żeby mi pomóc i sprowadzić doktora do mojego kolegi, żeby mnie nakarmić i przenocować. Jestem pewien, że nie obrażą się, jeśli wyrażę im swoją wdzięczność. dając ci ten pierścień. - Jerry obejrzał się na matkę, a Tanner skinął w jej stronę głową. Uczyniła to samo.

Jerry gwizdnął, podskoczył i wsunął sobie pierścień na palec.

- Za duży - powiedział z rozczarowaniem.

- Daj, zmniejsz go trochę. Ta spirala będzie pasowała na każdy palec, jeśli się ją trochę ściśnie. Zgniół pierścień i oddał go chłopcu do przymiarki. Był ciągle za duży, ścisnął go więc jeszcze mocniej - wtedy już pasował. Jerry wsunął pierścień na palec i chciał wybiec z izby.

- Zaczekaj! - zawołała za nim matka. - Co się mówi? Chłopiec odwrócił się i powiedział.

- Dziękuję ci. Czart. - Mister Tanner - poprawiła go matka.

- Mister Tanner - powtórzył chłopiec i wybiegł trzaskając drzwiami.

- To ładnie z pana strony - zwróciła się Suzan do Tannera. Wzruszył ramionami.

- Podobał mu się przecież - powiedział. - Cieszę się, że mogłem mu sprawić radość. Dopił kawę, skończył papierosa i Suzan dała mu jeszcze jedną filiżankę. Zapalił następnego papierosa.

Po chwili z drugiej izby wyszli Sam z doktorem i Tanner zaczął się zastanawiać, gdzie cała rodzina spała

wczorajszej nocy. Mężczyźni usiedli przy stole, a Suzan naląła im kawy.

- Pański przyjaciel odzyskał przytomność - odezwał się doktor. - Nie mogę jednak na pewno stwierdzić, na ile poważny jest jego stan. Potrzebne będzie prześwietlenie, a tutaj jest to niemożliwe. Nie radziłbym jednak go ruszać.

- Jak długo? - spytał Tanner.

- Może kilka dni, może kilka tygodni. Zostawiłem trochę lekarstw i pouczyłem Sama jak ma się nim opiekować. Sam mówił mi, że w Bostonie szaleje epidemia i musi się pan spieszyć. Radzę panu, aby jechał pan dalej bez niego. Niech go pan zostawi u Porterów. Będzie tu miał dobrą opiekę. Może potem pojechać z nimi na jarmark wiosenny do Alabamy i zabrać się stamtąd do Bostonu jakąś ciężarówką dostawczą. Myślę że wydobrzeje.

Tanner zastanawiał się przez chwile, w końcu skinął głową.

- Okay - powiedział. -Jeśli już tak musi być.

- Ja tylko dobrze radzę - zastrzegł się doktor. Pili wolno kawę.

XIII

No, to chyba będę jechał - powiedział Tanner obejrawszy wyciągnięty z błota samochód i kiwnął głową w stronę Potterów. - Dzięki.

Otworzyłabinę, wspiął się do niej i zapuścił silnik. Wrzucił bieg, zatrąbił dwa razy i ruszył.

Na ekranie widział trzech mężczyzn, machających rękoma na pożegnanie. Przycisnął mocniej pedał gazu i po chwili zniknęli mu z oczu.

Droga była równa i prosta, jechał więc szybko. Niebo miało kolor łososiowo-różowy. Ziemia była brązowa, porośnięta kępami zielonej trawy. Jasne słońce łowiło dzień w srebrną sieć.

Ta część kraju wyglądała na niemal nietkniętą przez kataklizm, który stworzył Aleje. Tanner prowadząc słuchał muzyki. Po drodze minął dwie ciężarówki, trąbiąc za każdym razem. Jedna z nich odpowiedziała mu swoim klaksonem.

Prowadził cały dzień i kiedy wjeżdżał do Albany, była już głucha noc. Na ulicach panowały egipskie ciemności. Światła paliły się tylko w kilku oknach. Zwolnił ujrawszy czerwony, mrugający neon "BAR GRILL", zaparkował wóz i wszedł do środka.

Sala była mała, skąpo oświetlona, a podłogę pokrywała warstwa trocin. Z szafy grającej wydobywały się głośne tony jakiejś melodii. Takiej muzyki nigdy dotąd nie słyszał.

Zajął miejsce przy barze, wpychając Magnuma głęboko za pas, aby nie było go widać, po czym zdjął kurtkę i rzucił ją na sąsiedni stół.

- Daj mi setkę, piwo i kanapkę z szynką - powiedział do podchodzącego mężczyzny, ubranego w biały fartuch.

Tamten skinął łysą głową, postawił przed Tannerem stugramowy kieliszek i napełnił go. Potem napompował uwieczniony czapą białej piany kufel piwa i kichnął przez prawe ramię. Tanner wychylił jednym haustem kieliszek wódki i pociągał małymi łyżkami piwo. Po chwili na

parapecie okienka, widniejącego w ścianie naprzeciw kontuaru, pojawił się talerzyk z kanapką. Barman przechodząc wziął go stamtąd i postawił przed Tannerem, napisał coś na zielonej karteczce i wsunął ją

pod talerzyk. Tanner wbił zęby w kanapkę, odgryzł spory kęs i splukał go do żołądka łykiem piwa. Obserwując otaczających go ludzi stwierdził, że zachowują się tak samo głośno, jak klientela każdego innego baru, a zwiedził ich już sporo. Starszy człowiek

siedzący po jego lewej ręce wydał mu się sympatyczny, spytał go więc:

- Są jakieś wieści z Bostonu?

- Nic zupełnie nie wiadomo. - Broda mężczyzny trzęsła się, gdy robił przerwy między poszczególnymi słowami, ale nie wyglądało, aby się tym przejmował. - Tylko patrzeć jak pod koniec tygodnia kupcy zaczną zamykać swoje sklepy.

- Jaki dzisiaj dzień?

- Wtorek.

Tanner skończył kanapkę i dopijając resztę piwa palił papierosa.

Potem spojrzął na rachunek. Było na nim napisane "0,85".

Położył na rachunku banknot dolarowy, odwrócił się i skierował w stronę wyjścia.

Zdażył zrobić dwa kroki, gdy barman zawołał za nim:

- Chwileczkę, Mister! Tanner obejrzał się.

- Tak?

- Co chcesz mi tu wcisnąć?

- O co chodzi?

- Co za śmieciem mi płacisz?

- Jakim śmieciem?

Mężczyzna pomachał dolarem Tannera. Czart podszedł bliżej i przyjrzał się banknotowi.

- Nie widzę tu nic złego. Co ci się w nim nie podoba?

- To nie są pieniądze!

- Chcesz przez to powiedzieć, że moje pieniądze nie są dobre?

- No przecież mówię. Nigdy nie widziałem takiego banknotu!

- To przyjrzyj mu się dobrze. Widzisz nadruk u samego dołu? W sali zapadła cisza.

Od stolika podniósł się jakiś mężczyzna i podchodząc do barmana, wyciągnął rękę.

- Daj, zobaczę, Bili - powiedział.

Barman podał mu banknot i oczy mężczyzny rozszerzyły się ze zdumienia.

- Został wypuszczony przez Bank Państwa Kalifornijskiego!

- Tak, właśnie stamtąd jestem - odezwał się Tanner.

- Przykro mi, ale tu jest nieważny - powiedział barman.

- To najlepszy jaki mam.

- Nikt go tutaj nie przyjmie. Masz przy sobie jakieś bostońskie pieniądze?

- Nigdy nie byłem w Bostonie.

- No to skąd, u diabła, się tu wziąłeś?

- Przyjechałem.

- Nie rób ze mnie wariata, synu. Skąd go ukradłeś?

- Bierzesz moje pieniądze, czy nie? - Tanner stracił panowanie nad sobą.

- Ani myślę - odparł barman.

- No to się wypchaj - rzucił Tanner i odwracając się plecami do barmana ruszył w kierunku drzwi.

Jak zawsze w takich sytuacjach był czujny na wszystko co dzieje się z tyłu. za nim. Kiedy usłyszał szybkie kroki, odwrócił się i stanął twarzą w twarz z mężczyzną, który sprawdzał przed chwilą banknot,

Ręka Tannera zacisnęła chwyt na skórzanej kurtce, którą trzymał przerzuconą przez prawe ramię. Zamachnął się i z całej siły uderzył mężczyznę kurtką w wierzch głowy. Tamten upadł. Po sali rozszedł się nie wróżący nic dobrego pomruk. Kilku ludzi zerwało się z miejsc i ruszyło w stronę Tannera.

Czart wyrwał zza pasa rewolwer.

- Przepraszam panów - wycedził przez zęby, kierując na nich jego lufę. Zatrzymali się.

- Nie uwierzycie mi pewnie, kiedy wam powiem, że w Bostonie panuje epidemia - ciągnął - ale to prawda. A może mi uwierzycie? Nie wiem, ale nie przypuszczam, żeby któryś z was uwierzył w to, że przyjechałem tu z Państwa Kalifornijskiego samochodem pełnym antyserum Haffikiny, chociaż to również prawda. Wyślijcie ten banknot do jakiegoś dużego banku w Bostonie, to go wam wymienię. Zresztą sami to wiecie. Teraz muszę już iść i niech nikt nie próbuje mnie zatrzymać. Jeśli dalej uważacie, że wpuszczam was w maliny, to zobaczcie czym będę odjeżdżał. Tyle miałem do powiedzenia.

Wycofał się przez drzwi i wspinając się do kabiny trzymał je ciągle na muszce. Znalazłszy się w środku, zapuścił silnik, zawrócił i odjechał na pełnym gazie.

Na wstecznym ekranie widział odprowadzającą go wzrokiem grupkę mężczyzn, którzy wylegli na chodnik przed barem.

Roześmiał się. Nad głową wisiał mu martwy księżyc koloru krwistej jabłoni.

Z Albany do Bostonu. Paręset mil. Pokonał już najgorszy odcinek trasy. Niebezpieczeństwa Alei Potępienia pozostały w większości daleko w tyle. Gwiazdy były chyba jaśniejsze niż zwykle. Dojedziesz, zdawała się mówić noc.

Pędził wśród wzgórz. Droga była niezła. Wiła się między drzewami i wysokimi trawami. Dostrzegł nadjeżdżającą z przeciwka ciężarówkę i przełączył reflektory na światła mijania. Uczyniła to samo.

Gdy dojechał do skrzyżowania, musiało być już koło północy. Nagle, po obu stronach drogi rozbłysły dziesiątki skrytych do tej pory w mroku reflektorów, oblewając samochód powodzią oślepiającego światła.

Tanner docisnął do oporu pedał gazu. Pędząc teraz na złamanie karku, słyszał jak za nim ożywa silnik po silniku. Rozpoznał ten dźwięk.

To byty motocykle.

Wjechały na drogę i ruszyły w pościg za znikającym w ciemnościach samochodem.

Mógł otworzyć ogień z broni maszynowej. Mógł zahamować i bluznąć płomieniem z miotacza ognia. Było oczywiste, że nie wiedzą na co się porywają. Mógł ich obrzucić granatami. Zwlekał jednak.

Wyobraził sobie, że jeszcze niedawno, na prowadzącym pościg motocyklu mógł siedzieć on sam. Wyciągnął niezdecydowanie rękę i dotknął klawiszy sterowania ogniem. Wahał się. Czuł się w jakimś stopniu zdrajcą.

Spróbował ich najpierw zgubić.

Silnik grzmiał, pracując na najwyższych obrotach, ale motocykle siedziały mu ciągle na ogonie.

Kiedy zaczęli strzelać, wiedział już, że musi odwzajemnić się im tym samym. Nie mógł pozwolić na to, aby przestrelili mu zbiornik paliwa albo opony.

Pierwsze strzały miały charakter ostrzegawczy. Nie mógł dopuścić do następnej kanonady. Gdyby tylko wiedzieli... , Głośnik!

Włączył wzmacniacz, nacisnął klawisz.

- Słuchajcie, koty - powiedział - wiozę tylko lekarstwa dla chorych obywateli z Bostonu. Zostawcie mnie w spokoju, albo usłyszycie hałas.

Gdy tylko skończył rozpętała się strzelanina. Nie zwlekając dłużej, otworzył do tyłu ogień z pięćdziesiątek.

Widział jak się przewracają, ale strzelali dalej. Rzucił więc granaty.

Kanonada straciła na sile, nie ustała jednak całkowicie.

Zahamował gwałtownie i uruchomił miotacze ognia. Grzał z nich przez pełne piętnaście sekund.

Zapadła cisza.

Kiedy dymy rozwiały się, popatrzył na ekrany.

Drogę zaścieniały przewrócone do góry kołami motocykle i dymiące trupy ludzi. Kilku siedziało na ziemi, celując z karabinów w samochód. Zastrzelił ich.

Niektóre ciała drgały jeszcze w konwulsjach i miał właśnie ruszyć w dalszą drogę, gdy dostrzegł podnoszącą się postać. Zrobiła kilka chwiejnych kroków i znowu upadła.

Ręka Tannera zawahała się na drążku zmiany biegów.

To była dziewczyna.

Rozważał sprawę kilka sekund, po czym zeskoczył z kabiny na ziemię i pobiegł w jej stronę.

Jeden z mężczyzn uniósł się na łokciu i sięgnął po leżący obok karabin.

Tanner strzelił do niego dwa razy i biegł dalej, ściskając w dłoni rewolwer.

Przeskakiwał przez kałuże krwi i wijące się w męczarniach ciała upieczonych żywcem ludzi. W świetle wstecznych reflektorów samochodu ich skóra była czarna. W powietrzu unosiły się jęki i smród spalonego mięsa. Dziewczyna czołgała się w kierunku mężczyzny o twarzy rozszarpanej pociskiem.

Dopał do niej i zatrzymał się. Posłała mu kilka cichych przekleństw.

Nie zauważył, żeby krwawiła.

Gdy dźwigał dziewczynę z ziemi, jej oczy zaszyły łzami.

Inni nie żyli już albo umierali. Wziął ją na ręce, zaniósł do samochodu i położył na fotelu pasażerskim, odchylając oparcie do tyłu. Broń rzucił na tylne siedzenie, aby nie mogła jej dosięgnąć.

Zajął miejsce za kierownicą, zapuścił silnik i ruszył. Na wstecznym ekranie dostrzegł, że dwie postacie usiłują jeszcze wstać i padają z powrotem na ziemię.

Była wysoką dziewczyną o długich, potarganych włosach koloru kurzu. Miała silnie zarysowany podbródek, szerokie usta i ciemne kręgi pod oczami. Czoło przecinała jej pojedyncza, ledwo widoczna zmarszczka. Prawa strona twarzy była silnie zarumieniona, jak gdyby opalona na słońcu, a prawa nogawka spodni rozdarta i brudna. Domyślił się, że spadła ze swego motocykla, liżnięta płomieniem z miotacza.

- Nic ci się nie stało? - spytał, gdy jej szloch przeszedł w wilgotne pociąganie nosem.

- Co to cię obchodzi? - powiedziała ze złością, podnosząc rękę do policzka. Tanner wzruszył ramionami.

- Pytam z życzliwości.

- Pozabijałeś większość ludzi z mojego gangu.

- A co oni mieli zamiar ze mną zrobić?

- Rozdeptaliby ciebie. Mister, gdyby nie ten twój piekielny samochód.

- Tak naprawdę to on nie jest mój - odparł. - Należy do Państwa Kalifornijskiego;

- Przecież nie przyjechał tu z Kalifornu.

- Diabła tam nie przyjechał. Sam go przyprowadziłem. Usiadła prosto i rozcierała nogę. Tanner zapalił papierosa.

- Nie poczęstujesz mnie? - spytała.

Oddał jej tego, którego palił, i wziął sobie następnego. Oczy dziewczyny spoczęły na jego tatuażu.

- Co to jest?

- Moje imię.

- Czart?

- Czart.

- Kto d dał takie imię?

- Mój stary.

Palili chwilę w milczeniu.

- Po co przejechałeś Aleją? - spytała po chwili.

- Bo to był jedyny sposób, żeby mnie wypuścili.

-Skąd?

- Z miejsca o żaluzjach w kratkę. Siedziałem.

- I wypuścili cię? Dlaczego?

- Dzięki wielkiej chorobie. Wiozę antyserum Haffikina.

- Ty jesteś Czart Tanner?

- Mhm.

- Nazywasz się Tanner, tak?

- Zgadza się. Kto ci to powiedział?

- Słyszałam o tobie. Wszyscy myśleli, że zginąłeś w Wielkiej Obławie.

- No to wszyscy się mylili.

- Jak tam wtedy było?

- Nie wiem. Nosilem już garniturek w paski. Dzięki temu właśnie jestem teraz tutaj.

- A dlaczego mnie zabrałeś? - - Bo jesteś jeszcze kurczakiem i nie mógłbym patrzeć jak kopiesz w kalendarz.

- Dzięki. Masz tu coś do zjedzenia?

- Tak, żywność jest tam - wskazał na drzwiczki lodówki. - Obsłuż się.

- Jak de nazywają? - spytał kiedy jadła.

- Corny - odparła z pełnymi ustami. - To skrót od Cornelii.

- Okay, Corny - powiedział. - Jak skończysz jeść, to opowiesz mi o drodze stąd do miasta. Skinęła głową i żuła dalej kanapkę.

- Jest dużo innych gangów - powiedziała po przełknięciu ostatniego kęsa. - Przygotuj się więc lepiej na to, że będziesz musiał je niszczyć.

- Na to jestem gotowy.

- Te ekrany pokazują wszystko co się dzieje naokoło, tak?

- Tak.

- To dobrze. Stąd do miasta droga jest całkiem dobra. Jest tylko jeden duży krater, do którego zaraz dojedziemy, a potem parę małych wulkanów.

- Zgadza się.

- Poza tym nie ma nic, czego trzeba by się obawiać, nie licząc Regentsów, Deyilsów, Kingsów i Loversów. To chyba wszystko. Tanner skinął głową.

- Jak liczne są te bandy?

- Nie wiem na pewno, ale Kingsów jest najwięcej. Kilkuset.

- A do jakiej ty należałaś?

- Do Studsów.

- Co zamierzasz teraz robić?

- Co tylko mi każesz.

- Okay, Corny. Wysadzę cię po drodze, gdy będziesz chciała, a jeśli nie chcesz wysiadać, to możesz jechać ze mną do miasta.

- Gdziekolwiek byś jechał, pojedę z tobą. Przydam ci się, Czart. Głos miała niski i mówiła wolno. Pod obcisłymi nogawkami kombinezonu rysowały się jędrne uda. Tanner oblizał wargi i utkwiał wzrok w ekranach. Czy chciał, żeby z nim została? Droga nieoczekiwanie powilgotniała. Leżały na niej setki ryb, a z nieba ciągle spadały następne.

Gdzieś wysoko rozległo się kilka głośnych grzmotów. Na północy rozblęzło niebieskie światło.

Tanner gnał dalej i nagle znalazł się pod wodospadem. Woda była wszędzie. Lała się kaskadami na samochód, przesłaniała ekrany. Niebo znowu poczerniało i w górze rozległo się

wycie ducha - zwiastuna śmierci.

Wszedł poślizgiem w ostry zakręt. Włączył reflektory.

Deszcz był teraz mniej ulewny, ale wycie nie ustawało. Po piętnastu minutach jęk narósł do ogłuszającego ryku.

Dziewczyna wpatrywała się w ekrany, zerkając od czasu do czasu na Tannera.

- Co zamierzasz zrobić? - spytała wreszcie.

- Uciec, jeśli potrafię - odparł.

- Jak okiem sięgnąć jest ciemno. Nie wydaje mi się, żebyś zdołał uciec.

- Mnie też się nie wydaje, ale cóż nam innego pozostało?

- Skryć się gdzieś.

- Jeśli wiesz gdzie, to mi pokaż.

- Jest takie miejsce, kilka mil Stąd - most, pod który można wjechać.

- Okay, to coś dla nas. Zawołaj, jak go zobaczysz.

Ściągnęła buty i masowała sobie stopy. Poczęstował ją papierosem.

- Hej, Corny - właśnie przyszło mi do głowy. - Tam po twojej prawej ręce jest apteczka. O, właśnie ta. Powinna w niej być jakaś maść. Nasmaruj nią sobie oparzenie na twarzy.

Znalazła jakąś tubkę, wycisnęła na dłoń trochę mazistej substancji i wtarła w policzek. Uśmiechnęła się lekko i odłożyła tubkę z powrotem.

- Trochę lepiej?

- Tak. Dzięki.

Zaczęły spadać kamienie i w górze rozrastała się niebieska łuna. Niebo pulsowało, stając się coraz jaśniejsze.

- To mi podejrzenie wygląda.

- Wszystko mi wygląda podejrzenie.

- W ostatnim tygodniu cholernie często się to zdarza.

- Tak. Słyszałam jak mówili, że być może wiatry ustają - że niebo może się oczyścić.

- Dobrze by było - odpowiedział Tanner.

- Może jeszcze zobaczymy je takim, jakim powinno wyglądać - całe niebieskie i z płynącymi po nim chmurami. Wiesz co to chmury?

- Słyszałem o nich.

- To takie białe, kłębiaste twory dryfujące po niebie. Czasami są szare. Nie spada z nich nic oprócz deszczu, a i on nie zawsze.

- Tak, wiem.

- Widziałeś ja kiedyś w L.A.?

- Nie.

Niebo zaczęły przecinać żółte błyskawice, a czarne linie wiły się po nim jak węże. Kamienny deszcz grzechotał głośno o dach i maskę samochodu. Ulewa przybrała na sile. Podniosła się mgła. Tanner zmuszony był zwolnić. Wydawało się, że w samochód wala kowalskie młoty.

- Nie dojedziemy - powiedziała Corny.

- Nie kracz. Ten wóz jest tak zbudowany, że to wytrzyma... Co to, tam przed nami?

- Most! - krzyknęła, pochylając się gwałtownie do przodu. - To ten! Zjedź z drogi w lewo, a potem w dół. Pod mostem jest wyschnięte koryto rzeki.

Błyskawice rozświetlały całe połączenie nieba. Wydawało się, że wszystko wokół płonie. Minęli spalone drzewo. Nawierzchnię drogi ciągle zaścieniały setki zdechłych ryb.

Dojechawszy do mostu, Tanner skręcił w lewo, zwolnił i zjechał śliską, błotnistą skarpią w dół.

Gdy dotarł do koryta rzeki, skręcił w prawo i wjechał pod most. Byli tam zupełnie sami. Z góry kapały na samochód krople wody. W świetle rozdzierających raz po raz niebo błyskawic, robiło się jasno jak w dzień. Niebo było jak obracający się nieustannym grzmiotem kalejdoskop. Z mostu docierało do ich uszu jakieś zawodzenie.

- Tu jesteśmy bezpieczni - powiedział Tanner i zgasił silnik.

- Czy drzwi są zamknięte?

- Tak. Blokują się automatycznie. Wyłączył reflektory.

- Postawiłbym ci jakiegoś drinka, ale mam tylko kawę.

- Może być i kawa.

- Okay. Już się robi. - Oplukał ekspres, napełnił go i wsunął wtyczkę do gniazdka na tablicy rozdzielczej. Siedzieli paląc papierosy i wsłuchiwali się w szalejącą burzę.

- Wiesz co? - odezwał się. - To przyjemne uczucie siedzieć sobie w bezpiecznym miejscu, jak szczer w norze, gdy tymczasem diabli biorą wszystko co na zewnątrz. Słuchaj, co się wyprawia. Dałoby nam popalić.

- Też tak myślę - odparła. - Co zamierzasz robić jak już dojedziesz do Bostonu?

- O, nie wiem... Może dostane jakąś pracę, uciulam trochę gotówki i otworzę sklep z motocyklami albo stację obsługi. Jeszcze się nie zdecydowałem.

- Niezłe plany. A sam zamierzasz jeździć?

- No jasne. Mają w mieście jakiś dobry klub?

- Nie. Wszyscy tam są piechurami.

- Tak przypuszczałem. Może zorganizuje własny klub. Wyciągnął rękę i uściśnął jej dłoń.

- Mogę ci postawić drinka - powiedziała.

- Co masz na myśli?

Wyjęła z prawej kieszeni swej kurtki plastikową butelkę, odkręciła korek i podała ją Tannerowi.

- Masz.

Nabrał pełne usta wódki i przełknął ją krztusząc się. Wziął drugi łyk i oddał butelkę Corneli.

- Dobrze! Jesteś kobietą o nie dającym się przewidzieć potencjale i to mi się w tobie podoba. Dzięki.

- Nie ma o czym mówić. - Łyknęła z butelki i odstawiła ją.

- Masz papierosa?

- Chwileczkę.

Przypalił dwa i jednego oddał Corny.

- Trzymaj, Corny.

- Dzięki, Chciałabym ci pomóc dojechać do Bostonu.

- Skąd ten pomysł?

- I tak nie mam nic lepszego do roboty. Mojej paczki już nie ma i teraz nie mam z kim jeździć. Poza tym, jeśli dojedziesz, będziesz ważną figurą. Z dużej litery. Pomyślałam, że mógłbyś mnie wtedy zatrzymać przy sobie.

- Możliwe. A jaka jesteś?

- Och, jestem naprawdę miła. Pomasuję ci nawet ramiona, gdy cię zabolą.

- Właśnie teraz mnie bolą.

-Tak myślałam. Pochyl się.

Nachylił się w jej stronę i poddał masażowi. Ręce miała zręczne i silne.

Dobrze to robisz, dziewczyno.

- Dzięki.

Wyprostował się i odchylił do tyłu. Potem sięgnął po butelkę, wziął łyk i podał ją Corny. Wokół szalały furie, ale osłaniający ich most dzielnie wytrzymał napór burzy. Tanner zgasił światło.

- Chodź - powiedział do Corny, objął ją i przyciągnął do siebie. Nie opierała się. Znalazł sprzączkę jej pasa, odpiął ją i zabrał się do guzików. Po chwili rozłożył fotel.

- Weźmiesz mnie ze sobą? - spytała.

- Pewnie.
- Pomogę ci. Zrobię wszystko co każesz, bylebyś tylko dotarł do Bostonu.
- Cieszę się.
- Przecież jeśli Boston się skończy, skończymy i my.
- No jasne.

Potem nie mówili, już nic.

W niebiosach panował gwałt. Potem nastąpiła ciemność i cisza.

XV

Gdy Tanner otworzył oczy, był już ranek. Burza ustała. Odwiedził latrynę w tylnej części samochodu, po czym zajął znowu miejsce w fotelu kierowcy.

Cornelia spała nadal i nie obudziła się nawet, gdy zapuścił silnik i ruszał pod zasłane wodorostami zbocze wzgórza.

Niebo było znowu jasne, a droga usiana kamieniami. Lawirował między nimi, kierując się na białe słońce. Po pewnym czasie Cornelia przeciągnęła się.

- Uch! - powiedziała i Tanner przywitał ją skinieniem głowy.

- Ramiona już mnie tak nie bolą - powiedział.

- A widzisz!

Samochód piał się wolno pod górę. Pociemniało. Jedna czarna linia biegnąca środkiem nieba przeistoczyła się w diabelską autostradę.

Gdy przejeżdżali przez porośniętą lasem dolinę, zaczął padać deszcz. Dziewczyna wróciła już z tyłu samochodu i zajęta była przygotowywaniem śniadania, kiedy Tanner dostrzegł na horyzoncie maleńki punkcik. Przełączył obiektywy skanerów na teleskopowe i po chwili przyspieszył, starając się uciec przed tym co ujrzał.

Cornelia uniosła głowę i spojrzała na ekran.

Ich śladem pędziła chmara motocykli.

- To twoi ludzie? - spytał Tanner.

- Nie. Moich załatwiłeś wczoraj.

- To niedobrze - mruknął Tanner, docisnął gaz do dechy i modlił się o burzę. Samochód wszedł z poślizgiem w ostry zakręt i rozpoczął wspinaczkę pod następne wzgórze. Ścigający zbliżyli się nieco. Tanner przełączył obiektywy z teleskopowych z powrotem na normalne, ale i

teraz można było ocenić liczebność nadjeżdżającego tłumu.

- To muszą być Kingsi - odezwała się Cornelia. - To największa banda na tych terenach.

- To źle - powiedział Tanner.

- Dla nich, czy dla nas?

- Dla jednych i dla drugich. Uśmiechnęła się.

- Chciałabym zobaczyć, jak to robisz.

- Zdaje się, że będziesz miała okazje. Ścigają nas jak szaleni.

Deszcz był teraz mniej ulewny, ale mgła zgęstniała. Pomimo to Tanner widział światła jadących za nimi w odległości ćwierć mili motocykli. Swoich reflektorów nie włączał. Liczbę ścigających go tego chłodnego, ponurego poranka prześladowców oszacował na sto do stu pięćdziesięciu.

- Ile jeszcze mamy do Bostonu? - spytał.

- Około dziewięćdziesięciu mil - odparła.

- Szkoda, że zachowują ciągle dystans. Mogliby się do nas zbliżyć - powiedział napełniając miotacze i włączając układ celowniczy, wyostrzający krzyż nitek na ekranie wstecznym.

- Co to jest? - spytała.

- Krzyż. Ukrzyżuje ich, moja pani. Uśmiechnęła się i ucisnęła jego ramie.

- Mogę ci w czymś pomóc? Nienawidzę tych sukinsynów.

- Za chwileczkę - odparł Tanner. - Za chwileczkę na pewno. - Sięgnął na tylne siedzenie, wziął z niego sześć ręcznych granatów i zawiesił je sobie u czarnego, szerokiego pasa. Dziewczynie podał karabin. - Złap się za to - powiedział, a sobie wsunął za pas pistolet 0,45.

- Wiesz jak się z tym obchodzić?

- Tak - odparła bez wahania.

- To dobrze.

Nie spuszczał wzroku z tańczących po ekranie świateł.

- Dlaczego u diabła ta burza się nie zaczyna? - zaklął, gdy światła zbliżyły się na tyle, że we mgle mógł już rozróżnić poszczególne sylwetki motocyklistów.

Gdy dzieląca go od nich odległość zmniejszyła się do stu stóp, wystrzelił pierwszy granat. Pocisk zatoczył szeroki łuk w szarym powietrzu i pięć sekund później nastąpiła eksplozja, której towarzyszył oślepiający błysk.

Światła sunące bezpośrednio za samochodem pozostały. Poruszając na boki krzyżem nitek celownika, położył palce na spustach pięćdziesiątek. Karabiny zagdakały długimi seriami. Wyrzucił następny granat. Gdy nastąpiła druga eksplozja, samochód piął się już pod kolejne wzniesienie terenu.

- Zatrzymałeś ich?

- Może na jakiś czas. Widzę jeszcze parę świateł, ale daleko za nami.

Po pięciu minutach dotarli do szczytu. Mgły tu nie było i w górze widzieli ciemne niebo. Zaczęli znowu zjeżdżać w dół. Po prawej wznosiła się ściana zmieszanych z gliną

kamieni. Tanner zauważył ją.

Gdy zjechali na sam dół i Tanner zauważył, że droga biegnie już po płaskim terenie, włączył najsilniejsze światła i poszukał wzrokiem miejsca, w którym pobocza były najszersze.

W górze, za nimi, ukazał się nagle rząd zjeżdżających na dół światła.

Znalazł miejsce, gdzie droga była wystarczająco szeroka i wprowadzając samochód w kontrolowany poślizg dokonał zwrotu o sto osiemdziesiąt stopni. Krzaczaste urwisko miał teraz po lewej ręce. Pościg zbliżał się nieubłaganie.

Uniósł wyrzutnie rakiet i odpalił jeden pocisk. Uniósł je o dalsze pięć stopni i odpalił drugi pocisk. Uniósł je jeszcze o pięć stopni wyżej i odpalił trzeci. Potem opuścił wyrzutnie o piętnaście stopni i odpalił jeszcze jedną raketę.

We mgle rozbłysła jasność. Słyszał turkot toczących się po drodze kamieni i czuł wibracje gruntu. To zaczynało obsuwać się zbocze urwiska. Skręcił kierownicę w prawo i cofając się odpalił jeszcze dwie rakiety na wprost. Wzniosły się tumany pyłu przemieszane teraz z mgłą. Wibracje nie ustawały.

Zawrócił i ruszył w dalszą drogę.

- Mam nadzieję, że to ich powstrzyma - powiedział przypalając dwa papierosy i podając jednego dziewczynie.

Po pięciu minutach, gdy wjechali wyżej i podmuch wiatru rozwiął nieco mgłę, Tanner dostrzegł daleko w tyle kilka podążających ciągle jego tropem światła.

Kiedy dotarli na szczyt wysokiego wzniesienia, wskazanie licznika promieniowania przekroczyło normalny poziom. Rozejrzał się i daleko przed sobą zobaczył krater.

- To ten - usłyszał głos dziewczyny. - Gdy zbliżymy się do niego, będziesz musiał zjechać z drogi. Skręcisz tam w prawo i okrążysz go naokoło.

- Dobrze.

Po raz pierwszy tego dnia usłyszał padające z tyłu strzały i chociaż nastawił celownik, to sam nie otworzył ognia. Odległość była jeszcze zbyt duża.

- Musiałeś odciąć połowę z nich - powiedziała Corny wpatrując się w ekran. - Nawet więcej. To jedna twarda banda.

- Widzę. - Jechał teraz we mgle. Przeliczył pociski do granatników i stwierdził, że ich zapas wyczerpuje się.

Gdy poczuł, jak samochód podskakuje na popękanej, betonowej nawierzchni, skręcił w prawo i zjechał z szosy. Poziom promieniowania był teraz bardzo wysoki. Od ziejącego po lewej krateru dzieliło go nie więcej jak tysiąc jardów.

Podążając ciągle za samochodem światła rozsypały się w tyralierę i pojaśniały. Wziął na cel najjaśniejsze i strzelił. Reflektor zgasł.

Jeszcze jeden do kompletu - stwierdził i pędził dalej przez zwęgloną równinę.

Ulewa wzmogła się. Ustawił środek krzyża nitek celownika na następne światło i oddał kolejny strzał. Zgasło również i znowu usłyszał huk ich karabinów. Strzelali do niego.

Włączył układ celowniczy karabinów wbudowanych w prawą burtę wozu i obserwował wyostrzający się na ekranie krzyż nitek. Kiedy trzy motocykle wysunęły się do przodu, aby oskrzydlić go z tej strony, otworzył ogień i skosił je. Strzały zza jego pleców zaczęły padać gęściej. Zignorował to, zajęty pokonywaniem nierówności terenu.

- Naliczyłam dwadzieścia siedem światel - odezwała się Corny.

Tanner lawirował wśród zaścielających pole głazów. Zapalił następnego papierosa.

W pięć minut później motocykle pędziły już po obu jego stronach.

Nie spieszył się z otwarciem ognia, oszczędzając amunicję i chcąc być pewnym trafienia. Odczekawszy na dogodny moment, ostrzelał wszystkie światła znajdujące się w zasięgu rażenia jego broni, docisnął do dechy pedał gazu i skręcił za skały.

- Pięciu upadło - powiedziała Corny, ale Tanner wsłuchiwał się w odgłosy strzelaniny. Wystrzelił za siebie granat, ale kiedy próbował cisnąć następny, urządzenie spustowe wydało tylko cichy, metaliczny trzask. Magazynek wstecznego granatnika był już pusty. Wyrzucił po jednym granacie na boki i przerwał na chwile ogień.

- Pokaże im coś jak się tylko zbliżą - powiedział do Cornelii. Po lewej ręce mieli ciągle krater. Strzelał teraz tylko do pojedynczych celów, kiedy miał pewność, że znajdują się w polu rażenia jego karabinów. Położył jeszcze dwóch i niespodziewanie z mgły wynurzyła się przed nim zniszczona nawierzchnia drogi.

- Jedź równolegle do niej - poradziła mu Corny. - Tam jest szlak. Na odcinku jakiejś mili ta szosa nie nadaje się do niczego.

Pociski bez przerwy odbijały się rykoszetem od pancernych burt. Odwzajemnił się ogniem. Pędzili szpalerem poskręcanych drzew, takich samych, jakie widział w pobliżu innych kraterów.

Wokół ich gałęzi, niczym proporce owijały się kłaczki mgły. Słysząc było coraz głośniejszy grzechot

deszczu o dach samochodu. Kiedy dotarli wreszcie do miejsca, od którego nawierzchnia drogi zachowana była w przyzwoitym

stanie, Tanner przypomniał sobie o ścigających go światłach.

- Ile teraz naliczyłaś? - zwrócił się do Cornelii.

- Zdaje się, że jest ich około dwudziestu. Jak nam idzie?

- Boje się tylko o opony. Mogą sporo wytrzymać, ale pocisk je przebije. Oprócz tego jakaś zabłąkana kulka może trafić w obiektyw któregoś skanera. Nie licząc tych dwóch czułych miejsc samochód jest kuloodporny i nawet jeśli zdołają nas zatrzymać, to będą musieli się do nas włamywać.

Motocykle znowu zmniejszyły dystans dzielący je od samochodu. Tanner widział jasne rozbłyski i słyszał huk karabinów.

- Trzymaj się - krzyknął do Corny i uderzył po hamulcach. Wóz wpadł w poślizg i przebywają! jeszcze parę metrów po mokrej nawierzchni zatrzymał się.

Światła gwałtownie pojaśniały. Tanner bluznął w ich stronę płomieniem z miotacza wstecznego, a po chwili włączył miotacze boczne i grzał z nich przez kilkanaście sekund do paru motocykli, które próbowały przemknąć się obok samochodu.

Potem zdjął nogę z hamulca i, nie tracąc czasu na ocenę zniszczeń, których dokonał, wyrwał gwałtownie do przodu.

Gdy pędzili przed siebie oddalając się od miejsca utarczki, usłyszał śmiech Cornelii.

- Boże! Ale im przyłożyłeś. Czart! Rozwaliłeś całą te cholerną bandę.

- Nie ma się z czego śmiać! - powiedział. - Widzisz jeszcze jakieś światła? Wpatrywała się przez chwile we wsteczny ekran.

- Nie - stwierdziła w końcu. - Chociaż czekaj. Trzy, siedem, trzynaście.

- Cholera! - zaklął.

Poziom promieniowania spadł. Do panującego w górze ryku dołączyły trzaski. Przez jakieś pół minuty wraz z deszczem padał z nieba drobny żwir.

- Kończą się nam zapasy - powiedział Tanner.

- Czego?

- Wszystkiego: szczęścia, paliwa, amunicji. Może wyszłabyś lepiej na tym, gdybym zostawił cię tam gdzie znalazłem.

- Nie - zaprzeczyła gorąco. - Jestem z tobą - na dobre, czy na złe.

- No to jesteś głupia - zawyrokował. - Nie byłem dotąd przykry dla ciebie. Gdybym był, grałabyś na inną nutkę.

- Może - odparła. - Poczekaj, a usłyszysz jak śpiewam. Wyciągnął rękę i uściśnął jej udo.

- Okay, Corny. Na razie jesteś w porządku. Trzymaj tak i zobaczymy co będzie dalej. Sięgnął po papierosa i zaklął stwierdzając, że paczka jest pusta. Uczynił gest głową w stronę skrytki. Corny otworzyła drzwiczki i wyjęła nową paczkę, rozdarła ją i przypaliła Tannerowi

papierosa.

- Dzięki.

- Dlaczego trzymają się wciąż poza zasięgiem naszej broni?

- Nie wiem. Może chcą tylko jechać za nami.

Mgła zaczęła się podnosić i zanim Tanner skończył papierosa, widoczność znacznie się poprawiła. Mógł już odróżnić czarne postacie siedzące okrakiem na motocyklach. Jechali ciągle z tyłu nie podejmując żadnych akcji zaczepnych.

- Jeśli chcą tylko dotrzymać nam towarzystwa, to nie mam nic przeciwko temu - odezwał się Tanner. - Niech sobie dotrzymują.

Po pewnym czasie jednak strzelanina rozpętała się na nowo i Tanner usłyszał huk pękającej opony. Zwolnił, lecz się nie zatrzymał. Wycelował starannie i zasypał swych prześladowców gradem kul. Kilku przewróciło się.

Kanonada za jego plecami nie ustała. Gdy pękła druga opona zahamował gwałtownie i samochód zwalniając wpadł w poślizg i obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni. Tanner wysunął słupy kotwiczne i jedną po drugiej odpalił w kierunku nadjeżdżających rakiety. Kiedy rozjechali się na prawo i lewo oskrzydłując go ponownie, otworzył ogień z karabinów maszynowych najpierw z prawej, a potem lewej burty. Gdy ich magazynki opróżniły się, wystrzelił resztę granatów.

Kanonada straciła na sile, ale nie ucichła zupełnie. Strzały padały teraz spośród drzew rosnących tu wzdłuż drogi. Tanner wyodrębnił pięć źródeł ognia - trzy z lewej i dwa z prawej strony. Przed samochodem leżały pogruchotane motocykle i trupy ludzi. Niektóre jeszcze dymiły. Nawierzchnia szosy była w wielu miejscach podziurawiona i popękana. Zawrócił samochód i na sześciu kołach ruszył w dalszą drogę.

- Skończyła się nam amunicja, Corny - powiedział do dziewczyny.

- Wcale się nie dziwie. Strasznie dużo ich położyliśmy...

- Na pewno.

Na wstecznym ekranie dostrzegł jak na drogę wjeżdża znowu pięć motocykli. Zachowywali spory dystans, ale wciąż jechali trop w trop za nim.

Spróbował skorzystać z radia, ale odpowiedzi nie otrzymał. Nacisnął hamulec i stanął. Motocykle zatrzymały się również w sporej odległości od samochodu.

- No, przynajmniej się nas boją. Myślą, że ciągle mamy zęby.

- Bo mamy - powiedziała.

- Tak, ale nie te, o których oni myślą.

- Jeszcze lepsze.

- Cieszę się, że de spotkałem - powiedział Tanner.

- Mogę dzięki temu przebywać w towarzystwie optymistki, nie uważasz?

Skinęła głową. Tanner wrzucił bieg i ruszył zrywem naprzód.

Motocykle, wciąż trzymając się w bezpiecznej odległości, ruszyły również. Obserwował je na ekranie i kłął.

Po chwili zbliżyły się nieco. Tanner przez pół godziny gnał jak szalony przed siebie, ale pięć ocalałych z pogromu motocykli coraz bardziej zmniejszało dzielącą ich odległość.

Gdy byli już wystarczająco blisko siedzący na nich ludzie otworzyli ogień z opartych o kierownice karabinów.

Tanner słyszał kilka rykoszetów i nagle pękła następna opona.

Zatrzymał się ponownie. Motocykle uczyniły to samo, pozostając ciągle tuż poza zasięgiem miotacza ognia. Zaklął i ruszył znowu. Samochód dygotał, przechyliwszy się na lewą stronę. Minęli rozwalony o drzewo wrak półciężarówki. Siedział w niej szkielet - prawdopodobnie kierowcy. Szyby były wybite, a opon brakowało. Na niebie widać było pół słońca. Dochodziła dziewiąta. Przed nimi unosiły się widmowe tumany mgły. Ciemne pasma na niebie falowały, a spadający z nich deszcz był coraz bardziej ulewny i zmieszany z pyłem, małymi kamykami i kawałkami metalu.

- Dobrze - powiedział Tanner, gdy rozległo się bębnienie o dach i maskę samochodu - ale mogłoby być jeszcze lepiej.

Jego życzenie spełniło się bardzo szybko. Ziemia zaczęła drżeć, a na północy pojawiło się niebieskie światło. Wśród ryku nieba słychać było grzmoty, potem doszedł ich uszu łoskot i tuż obok prawej burty samochodu runęła nagle sterta gruzu.

- Żeby tak następna spadła prosto na naszych chłopców, tam za nami - powiedział Tanner. Przed sobą, nieco z prawej zobaczył pomarańczową zorze. Jarzyła się tam już od kilku minut, ale dopiero teraz zdał sobie sprawę z jej istnienia.

- Wulkan - stwierdziła Corny, kiedy jej to pokazał. - To znaczy, że zostało nam do przejechania jakieś sześćdziesiąt pięć do siedemdziesięciu mil.

Nie mógł się zorientować, czy nadal do niego strzelają. Dochodzące zewsząd dudnienie zagłuszyłyby nawet kanonadę artyleryjską, a bębnienie żwiru o karoserie samochodu mogło zlewać się z rykoszetami pocisków. Pięć światel podążało za nimi krok w krok.

- Czemu nie dadzą za wygraną? - zastanawiał się Tanner. - Mają tam niezłą łaźnię.

- Są do tego przyzwyczajeni - odparła Corny. - Poza tym gna ich żądza krwi. Tanner zdjął z drzwiczek kabiny Magnuma 0.375 i podał go dziewczynie.

- Złap się za to - powiedział, po czym wyjął ze schowka pudełko z amunicją i dodał:

- Schowaj je do kieszeni.

Do kieszeni swojej kurtki wsunął naboje do 0,45 i poprawił granaty ręczne przytroczone u pasa.

Z pięciu podążających za nim świateł pozostały nagle tylko cztery, a i te zmalowały zwalniając.

- Mam nadzieję, że to jakiś wypadek - powiedział.

Ujrzeni górę - stożek o wyszczerbionym wierzchołku, krwawiący płomieniami w niebo. Zjechali z drogi w lewo i posuwali się teraz dobrze zaznaczonym szlakiem. Ominiecie góry zajęło dwadzieścia minut. Potem znowu ujrzeni swych prześladowców - cztery wolno zmniejszające dystans światła.

Tanner wprowadza samochód z powrotem na drogę i pomknął przed siebie, czując pod kołami drzenie gruntu. Niebem przelatywały żółte błyskawice. Wokół waliły w ziemię ciężkie bezkształtne obiekty o średnicy kilku stóp. Przechylony na jedną stronę samochód zataczał się pod uderzeniami porywistego wichru. Szybkość, z jaką się teraz posuwali, nie przekraczała czterdziestu mil na godzinę. Z radia wydobywały się tylko zakłócenia elektrostatyczne.

Tanner minął ostry zakręt, zahamował gwałtownie, wyłączył światła, wyciągnął zawleczkę granatu i czekał z ręką na klamce drzwiczek.

Kiedy na ekranie pojawiły się światła, otworzył szybkim ruchem drzwiczki, wychylił się i cisnął granat poprzez kamienny deszcz.

Zanim doszła ich uszu eksplozja, zanim na ekranie pojawił się błysk, byli już w drodze.

Dziewczyna roześmiała się niemal histerycznie.

- Dostałeś ich. Czart, dostałeś ich - krzyczała.

Tanner popił z butelki, a Corny wychyliła ją do dna.

Droga była coraz bardziej popękana, wyboista i niebezpieczna. Samochód wspiął się na szczyt wysokiego wzniesienia i pędzili teraz w dół. Zjechawszy ze wzgórza wpadli w tuman gęstej mgły. ' Z przeciwka zbliżały się jakieś światła i Tanner przygotował miotacze ognia. Była to jednak zwykła ciężarówka, zmierzająca na zachód i nie przejawiająca żadnych wrogich zamiarów. W ciągu następnej pół godziny minął jeszcze dwie.

Niebo zaczęło przecinać coraz więcej błyskawic. Na ziemi sypał się grad kamieni wielkości pieści. , Tanner dostrzegł las i zjechał z drogi z zamiarem schronienia się wśród wysokich drzew. Niebo pociemniało całkowicie, gubiąc nawet niebieską lunę.

Czekali trzy godziny, ale burza nie ustawała. Jeden po drugim zgasły cztery ekrany, a piąty pokazywał tylko czerń zalegającą pod samochodem. Ostatnim obrazem, jaki Tanner oglądał na ekranie wstecznym, było ogromne, rozszczerzone na dwoje drzewo i odłamująca się właśnie od niego gałąź. Nastąpiło kilka straszliwych trzasków o maskę samochodu. Wóz chybotął się przy każdym na wszystkie strony. Dach kabiny został w trzech miejscach głęboko wgnieciony. Światło przygasało i rozjaśniało się znowu. Z radia nie dochodziły już nawet zakłócenia.

- Zdaje się, że dostaliśmy - odezwał się Tanner.

- Chyba tak.

- Jak jeszcze daleko?

- Z pięćdziesiąt mil.

- Jeśli to przeżyjemy, to jest jeszcze szansa.

- Jaka szansa?

- Mam z tyłu wozu dwa motocykle.

Rozłożyli fotele, zapalili papierosy i czekali. Po chwili światło w kabinie zgasło i nie zapaliło się już więcej.

Burza szalała cały dzień i przeciągnęła się do późnej nocy. Spali pod osłoną wraku rozbitego samochodu. Kiedy nawałnica ustała, Tanner otworzył drzwiczki, wyjrzał na świat i zamknął je z powrotem.

- Poczekamy do rana - zdecydował. Uścisnęła jego dłoń i zasnęła, trzymając się za rękę.

Rano Tanner brnąc w błocie i omijając leżące na ziemi gałęzie, gałęzy oraz zdechłe ryby obszedł samochód dookoła, otworzył tylne drzwiczki i odpiął klamry, za pomocą których unieruchomiono motocykle. Napełnił paliwem zbiorniki i sprowadził maszyny po rampie na ziemię.

Potem wczółgał się na tył kabiny, skąd wyjął tylne siedzenie. Pod nim, w bagażniku znajdowała się duża, aluminiowa skrzynka - przesyłka, którą-miał dowieźć do Bostonu. Była hermetycznie zamknięta. Wyjął ją ze schowka i przeniósł do swojego motocykla.

- To ten towar? - spytała Cornelia. Skinął głową i postawił pojemnik na ziemi.

- Nie wiem jak to jest tam w środku przechowywane. Czy Jest chłodzone, czy jak - powiedział - ale sama skrzynka nie jest tak ciężka, żebym nie mógł jej powieźć na bagażniku motocykla. W ostatnim po prawej schowku są taśmy. Pójdź i przynieś mi je. Wyjmij też moje ułaskawienie ze środkowej skrytki. ^est w dużej, kartonowej kopercie.

Wróciła po chwili z taśmami i kopertą i pomogła Tannerowi przymocować pojemnik do bagażnika motocykla.

Owinął sobie wokół bicepsa dodatkową taśmę i pchając przed sobą motocykle, wprowadzili je na drogę.

- Musimy z tym wolno jechać - powiedział, przewieszając przez plecy karabin. Naciągnął rękawice i kopniakiem zapuścił silnik.

Corny poszła w jego ślady i ruszyli ramie w ramie autostradą.

Po jakiejś godzinie jazdy minęły ich dwa osobowe samochody, zmierzające na zachód. Na tylnych siedzeniach obu widzieli przyciśnięte do szyby twarzązki dzieci przyglądające się im z ciekawością. Kierowca drugiego wozu był w samej koszuli i spod pachy wystawała mu czarna kabura.

Niebo nabrało koloru różowego i przecinały je trzy czarne linie, których wygląd nie wróżył nic dobrego. Słońce było bladą kulą wpadającego w róż srebra, ale Tanner stale chronił oczy za goglami przed jego blaskiem.

Skrzynka jechała bezpiecznie na tylnym bagażniku. Tanner pochylił się nad kierownicą i myślał o Bostonie. Powietrze było chłodne i wilgotne, a u stóp każdego wzgórza unosiła się lekka mgiełka. Nawierzchnia drogi stawała się coraz lepsza.

Około północy, ponad jednostajnym rykiem silników, usłyszał strzał. Z początku myślał, że pochodzi z gaźnika, ale strzał padł ponownie. Corny krzyknęła, zjechała z drogi i

uderzyła w leżący na poboczu wielki głaz.

Tanner skręcił ostro w lewo i zahamował. Huknęły dwa następne strzały. Oparł motocykl o drzewo i przywarł do ziemi. Pocisk uderzył tuż przy jego głowie. Zorientował się z jakiego kierunku nadleciał. Przeczłogał się do przydrożnego rowu i ściągnął rękawice z prawej dłoni. Widział swoją dziewczynę leżącą tam, gdzie upadła. Z jej piersi sączyła się krew. Nie poruszała się.'

Uniósł karabin i pociągnął za spust.

Odpowiedziano mu strzałem. Podpełznął w lewo.

Strzelano z odległego o jakieś dwieście stóp wzgórza. Zdawało mu się, że widzi lufę karabinu.

Wziął ją na cel i ponownie nacisnął na spust. I tym razem odpowiedziano mu strzałem. Przeczłogał się wolno jeszcze bardziej w lewo i, pokonawszy piętnaście stóp, dotarł do sterty gruzu, za którą mógł przykucnąć. Wyciągnął zawleczkę granatu, wstał i rzucił go.

Padł na ziemię, gdyż ze wzgórza padł kolejny strzał, i ujął w dłonie drugi granat.

Rozległa się seria potężnych detonacji, którym towarzyszył oślepiający błysk. Z góry posypały się strzępy metalu. Tanner zerwał się na równe nogi i cisnął drugi granat, tym razem celując dokładniej.

Gdy ucichły echa kolejnych eksplozji, podbiegł w kierunku wzgórza, ściskając w dłoniach karabin. Nie miał tam już jednak nic do roboty.

Na miejscu zastał tylko parę strzępków ludzkiego ciała. Karabinu, z którego doń strzelano, nie odnalazł.

Wrócił do Cornelii.

Nie oddychała. Jej serce przestało bić. Wiedział, co to znaczy.

Przeniósł ją do przydrożnego rowu, w którym przed chwilą leżał i pogłębił go rękoma.

Złożył dziewczynę do grobu i przysypał ziemią. Potem przyprowadził jej motocykl, postawił go na świeżej mogile i wysunął podpórkę. Na błotniku wydrapał sztyletem słowa:

“Miała na imię Cornelia i nie wiem ile miała lat, ani skąd pochodziła, ani jak brzmiało jej nazwisko, ale była dziewczyną Czarta Tannera i kochałem ją”.

Potem wrócił do swojego motocykla, zapuścił silnik i ruszył w dalszą drogę. Od Bostonu dzieliło go jeszcze około trzydziestu mil.

Po przejechaniu paru mil, usłyszał warkot drugiego motocykla. Z leśnej ścieżki po jego lewej stronie wypadł na szosę Harley. Nie mógł odsadzić się na większą odległość od nieznanego, gdyż ładunek, który wiozł, nie pozwalał na szybką jazdę. Pozwolił więc tamtemu jechać za sobą.

Po chwili motocyklista - wysoki, chudy mężczyzna z płomienną brodą, zrównał się z Tannerem. Jadąc po jego lewej ręce uśmiechnął się, podniósł rękę i opuścił ją, dając znak głową.

Tanner przyhamował i zatrzymał się. Rudobrody uczynił to samo.

- Dokąd jedziesz, kolego? - spytał uprzejmie.

- Do Bostonu.

- A co masz w tej skrzynce?

-Leki.

-Jakiego rodzaju? - Brwi mężczyzny uniosły się w górę, a na jego ustach wykwitł znowu uśmiech.

- Przeciwno epidemii, która tam panuje.

- Ach, myślałem, że chodzi o coś innego.

- Przykro mi.

Mężczyzna trzymał teraz pistolet w prawej dłoni.

- Złaż z motocykla - rzucił rozkazującym tonem.

Tanner zrobił co mu kazano. Mężczyzna uniósł lewą rękę i z krzaków porastających pobocze drogi wyłonił się drugi człowiek.

- Odprowadź motocykl tego gościa jakieś dwieście stóp autostradą - zwrócił się do niego Rudobrody -i zaparkuj go pośrodku drogi. Potem wracaj na swoje miejsce.

- Co jest grane? - spytał Tanner. Nieznajomy zignorował to pytanie.

- Kim jesteś? - zapytał Tannera.

- Nazywam się Czart. Czart Tanner.

- Idź do czarta.

Tanner wzruszył ramionami.

- Ty nie jesteś Czart Tanner.

Tanner ściągnął rękawice i pokazał zaciśniętą pięść.

- Tu jest moje imię.

- Nie wierze - powiedział mężczyzna obejrzawszy tatuaż.

- Jak chcesz, obywatelu.

- Zamknij się! - wrzasnął Rudobrody i jeszcze raz podniósł w górę lewą rękę.

Tymczasem drugi mężczyzna postawił już motocykl Tannera na szosie i wrócił na swój posterunek w zaroślach po prawej stronie drogi.

Na znak dany przez Rudobrodego, w krzakach po obu stronach szosy zapanowało poruszenie. Jacyś ludzie, pchając przed sobą motocykle, ustawiali się szeregiem wzdłuż poboczy. W końcu utworzyli szpaler składający się z jakichś piętnastu par.

- No i co ty na to? - powiedział z dumą w głosie Rudobrody. - Nazywam się Wielki Brat

- Miło mi cię poznać.

- Wiesz co teraz zrobisz. Mister?

- Właśnie zaczynam się domyślać.

- Pójdiesz do swojego motocykla i zabierzesz go sobie. Tanner uśmiechnął się.

- Jak meczący będzie ten spacer?

- Tym się nie przejmuj. No ruszaj. Czekać, daj mi najpierw swój karabin. Wielki Brat podniósł znowu rękę i silniki motocykli ożyły jeden po drugim.

- Okay - powiedział do Tannera, - Teraz.

- Człowieku, masz mnie za idiotę?

- Nie. Ruszaj. Twój karabin.

Tanner, zsuwając karabin z pleców, uchwycił go za lufę i przedłużając ruch po łuku uderzył Wielkiego Brata kolbą w podbródek. Poczul jednocześnie jak w jego ciało wchodzi pocisk. Rzucił bron, złapał **za** granat, wyciągnął zawleczkę i cisnął go pomiędzy ludzi stojących po lewej stronie drogi. Zanim jeszcze granat rozerwał się, wyciągnął zawleczkę drugiego i rzucił go na prawo. Motocykle zdążyły jednak już ruszyć i pędziły teraz wprost na niego.

Padł obok swego karabinu i złożył się do strzału z pozycji leżącej. Wtedy dopiero nastąpiła pierwsza eksplozja. Otworzył ogień przed upływem sekundy.

Położył trzech, zerwał się na nogi i odskoczył, strzelając z biodra. Skrył się za leżący na ziemi motocykl Wielkiego Brata i ostrzeliwał się aż do opróżnienia magazynku. Nie było czasu ładować go ponownie. Zdążył oddać cztery strzały z automatu 0,45 i otrzymał cios łańcuchem.

Ocknąwszy się usłyszał ryk silników. Krążyli wokół niego. Próbował wstać na nogi, ale powaliło go uderzenie kierownicą. Zostało ich dwóch. Reszta leżała martwa na szosie.

Gdy znowu usiłował się podnieść, otrzymał kopniaka.

Na jednym z motocykli siedział Wielki Brat, a na drugim człowiek, którego jeszcze nie widział.

Przeczołgał się w prawo i nagle poczuł ból w koniuszkach palców, miażdżonych kołami jednej z maszyn.

Nie spuszczał jednak oczu z kamienia, czekając aż motocyklista podjedzie bliżej. Gdy to nastąpiło, poderwał się z ziemi i uderzył przejeżdżającego mężczyznę trzymanym w rękę kamieniem w głowę. W chwili potem stracił równowagę i kiedy upadł, poczuł jak wpada na niego drugi motocykl.

W boku zabolalo tak strasznie, iż myślał, że pękają wszystkie żebra, schwycił jednak za rozporka sterczącą z tylnego błotnika motocykla i dal mu się powlec po ziemi.

Po przebyciu w ten sposób dziesięciu stóp, trzymał już w drugiej dłoni sztylet wyciągnięty z buta. Dźgnął na oślep w górę i poczuł jak ostrze przebija cienką, metalową ściankę. Puścił się wtedy rozporki i legł twarzą do ziemi, czując zapach benzyny. Ręka powędrowała do kieszeni i wysunęła się z niej ściskając zapalniczkę.

Przebił bak zawieszony z boku motocykla Wielkiego Brata i jego zawartość tryskała teraz na drogę, Dwadzieścia stóp dalej. Wielki Brat zawracał.

Tanner trzymał zapalniczkę, zapalniczkę z uniesionym wieczkiem i orlimi skrzydłami po bokach. Kciuk pokręcił kołkiem, trysnęły iskry, buchnął płomień. Cisnął ją w przepływający przed nim strumień benzyny. Ognista pręga pomknęła błyskawicznie w kierunku Wielkiego Brata.

Wielki Brat skończył nawrót ruszając znowu na Tannera, gdy nagle zorientował się co mu grozi. Wytrzeszczył oczy, a obramowany płomienną brodą uśmiech znikł z jego twarzy.

Próbował jeszcze zeskoczyć z motocykla, ale było już za późno. Upadł naszpikowany odłamkami eksplodującego zbiornika paliwa, z wielkim kawałem żelaza w głowie.

Płomienie dosięgły też Tannera. Dusił je niemrawo gołymi rękoma.

Ugasiwszy swoje ubranie, uniósł głowę i spojrział na ognistą hekatombę i zamykając oczy znowu legł twarzą do ziemi. Broczył krwią, był osłabiony i bardzo wyczerpany. Jego motocykl stał nie uszkodzony na drodze.

Zaczął pełznąć w tamtym kierunku.

Dotarłszy do maszyny rzucił się na siodełko i zwiślał z niego przez dobre dziesięć minut. Zwymiotował dwa razy, a ostry ból przerodził się w nieustające pulsowanie.

Po godzinie wgramolił się na motocykl i zapuścił silnik.

Po przejechaniu pół mili zmogły go zawroty głowy i zmęczenie.

Zjechał z szosy, ukrył najlepiej jak potrafił motocykl i, położywszy się na gołej ziemi, zasnął.

XVIII

Ocknął się leżąc na boku w kałuży zakrzepłej krwi. Lewa ręka była spuchnięta i bolała. Czuł sztywność w czterech palcach i cierpiał starając się je zgiąć. W głowie pulsowała krew, a smak benzyny w ustach doprowadzał go do mdłości. Przez dłuższą chwilę był zbyt obolały, aby się poruszyć. Brodę miał osmaloną płomieniem, a prawe oko zapuchnięte tak, że ledwie na nie widział.

- Corny... - jęknął. - Cholera!

Przed oczyma, niczym treść sugestywnego snu wyłaniającego się nagle z zakamarków podświadomości, przelatywały obrazy z przeszłości.

Zaczął dygotać. Wszystko wokół spowijała mgła. Było bardzo zimno i przemarzły mu nogi. Wilgoć przesiąknęła na wylot przez drelichowe spodnie.

Słyszał gdzieś w oddali przejeżdżające pojazdy. Chyba samochody.

Zdołał przetoczyć się na drugi bok i podparł głowę ręką. Była noc, ale równie dobrze mógł to być ciemny dzień.

Leżąc tak, wrócił myślami do swej więziennej celi. Teraz wydawało mu się, że było mu tam jak w niebie. Pomyślał też o swoim bracie Dennym, który też pewnie cierpi w tej chwili. Zastanawiał się, czy sam również ma połamane żebra. Wszystko wskazywało na to, że tak. Myślał o potworach z południowego zachodu i o ciemnookim Gregu. Czy żył jeszcze? Jego myśli uleciały z powrotem do L.A. i starego Barbary Coast, które po Wielkiej Obławie skończyło się raz na zawsze. Potem przed oczyma przesunęła mu się Corny z zakrwawioną pierśią. Zagryzł wargę i mocno zacisnął powieki. Mogli razem ułożyć sobie życie w Bostonie. Jak jeszcze daleko?

Podźwignął się na kolana i popęzł na czworakach przed siebie, dopóki nie uderzył głową w coś wysokiego i twardego. Drzewo. Usiadł, opierając się o nie plecami. Dłoń błądziła po kurtce w poszukiwaniu papierosów. Znalazł zmiętą paczkę. Wyciągnął jednego, przerolował go w palcach i przypomniał sobie, że jego zapalniczka leży teraz gdzieś na autostradzie. Wygrzebał z kieszeni zawilgocone pudełko zapalek. Trzecia zajęła się płomieniem. Gdy zaciągnął się dymem, przenikający go do szpiku kości chłód minął i spłynęła na niego fala gorąca. Odpinając kołnierzyk zakaszał i poczuł w ustach smak krwi.

Jedyną bronią, jaka mu pozostała, był zwisający u pasa granat.

Nad głową w ciemnościach usłyszał ryk. Zaciągnął się sześć razy, papieros wysliznął mu się z palców i zaskwierczał w zetknięciu z wilgotną ziemią. Głowa opadła mu na piersi i

stracił przytomność.

Czy była burza? Nie pamiętał. Gdy się ocknął, leżał na lewym boku, przyciśnięty plecami do drzewa. Było południe. Z góry padały na niego promienie różowego słońca, a mgła zniknęła. Skądś dochodził świergot ptaków. Chciał zakląć na głos i z krtani wydobył się ochryply charkot. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, jak wysuszone ma gardło. Zapalał nagle straszliwym pragnieniem.

W odległości trzydziestu stóp dostrzegł czystą kałużę. Podpełził do niej i pił łapczywie. Woda zmętniała.

Zaspokoiwszy pragnienie powłókł się na czworakach do miejsca, gdzie ukrył motocykl i wstał. Oparł się o maszynę. Gdy zapalał papierosa, trzęsły mu się ręce.

Dysząc ciężko wepchnął motocykl na szosę. Brnął do niej chyba z godzinę. Nie miał pojęcia, która to godzina, bo zegarek był rozbity. Gdy ruszał, słońce chyliło się już za jego plecami ku zachodowi. Wiatr smagnał go po twarzy, a gwizdzące w uszach prądy powietrza odcięły swym przepływem jego świadomość od świata zewnętrznego. Ładunek spoczywał bezpiecznie na tylnym bagażniku. Tanner wyobraził sobie nagle, jak ktoś tam na miejscu otwiera skrzynkę i znajduje w niej stertę potłuczonych butelek. Śmiał się i klął na przemian.

Minęło go kilka samochodów zmierzających w przeciwnym kierunku. Nie widział jeszcze takiego, który kierowałby się w stronę miasta. Droga była w dobrym stanie, a wzdłuż niej stały niezłe utrzymane, niezamieszkałe jednak budynki. Nie zatrzymywał się. Tym razem postanowił nie zatrzymywać się pod żadnym pozorem, chyba że zostanie do tego zmuszony.

Słońce zniżyło się jeszcze bardziej i niebo na wschodzie pociemniało. Kołysały się po nim dwie czarne linie. Minął drogowskaz, z którego odczytał, że do przejechania pozostało mu jeszcze osiemnaście mil. Dziesięć minut później włączył reflektory.

Wspiął się na szczyt wzgórza i zwolnili, zanim szosa zaczęła opadać z powrotem w dół.

Daleko przed sobą, u stóp wzniesienia ujrzał światła.

Wyrwał do przodu. Wiatr przyniósł mu dźwięk dzwonu, rozlegający się w zapadających ciemnościach. Poczł unoszącą się w powietrzu, znajomą woń: to był słony zapach morza.

Gdy zjeżdżał w dół, słońce skryło się za wzgórzem. Pędził teraz w niekończącym się cieniu. Daleko na horyzoncie, między dwoma czarnymi pasami, pojawiła się samotna gwiazda.

W gęstniejącym mroku jarzyły się światła. Budynki stały teraz bliżej siebie. Pochylił się nisko nad kierownicą. Bolały go mięśnie ramion i żałował, że nie ma na głowie kasku.

Czuł, iż coraz bardziej traci poczucie równowagi.

To chyba już niedaleko. Gdzie ma się udać, gdy dotrze do miasta? Nie powiedzieli mu tego.

Potrząsnął głową, jakby chciał w ten sposób przywrócić jej zdolność logicznego rozumowania.

Ulica, którą teraz jechał, zdawała się być wyludniona. Nie słyszał odgłosów ruchu kołowego. Zatrąbił i po chwili echo powróciło do niego odbite od jakiejś skrytej w mroku przeszkody.

W budynku po lewej paliły się światła. Zatrzymał się, zsiadł z motocykla i podszedłszy do drzwi zabębnił w nie pięścią. Wewnątrz panowała głucha cisza. Szarpnął za klamkę, ale drzwi były zamknięte na klucz. Jeśli w środku jest telefon, to jego podróż może zakończyć się już tutaj.

A co, jeśli wszyscy mieszkańcy tego domu nie żyją? Przyszło mu nagle do głowy, że do tej pory mogło już wymrzeć całe miasto. Włame się do środka! Wrócił do motocykla po śrubokręt i zaczął manipulować przy zamku.

Mniej więcej w tej samej chwili usłyszał strzał i warkot silnika.

Odwrócił się szybko i oparł plecami o drzwi. W prawej, obleczonej w rękawice dłoni ścisnął ukryty granat.

- Stój! - zaryczał głośnik umieszczony na dachu zbliżającego się, czarnego samochodu. - To był strzał ostrzegawczy! Następny pójdzie w ciebie!

Tanner uniósł ręce do poziomu uszu, odwracając prawą dłoń grzbietem do przodu, aby zasłonić trzymany w niej granat. Zrobił parę kroków i przystanął przy krawężniku, obok swego motocykla. Czarny samochód zatrzymał się.

W środku siedziało dwóch policjantów i ten zajmujący miejsce obok kierowcy trzymał pistolet 0,38 wycelowany prosto w Tannera.

-Jesteś aresztowany - powiedział policjant. - Za szaber. Tanner skinął głową. Obydwaj mężczyźni wysiedli z samochodu. Kierowca obszedł wóz wokół maski, niosąc w rękę kajdanki.

- Szaber - powtórzył mężczyzna z pistoletem. - Posiedzisz parę lat.

- Daj tu rączki, chłopcze - powiedział drugi glina i Tanner wręczył mu zawleczkę granatu. Mężczyzna gapił się na nią tępo przez kilka sekund, potem jego oczy pobiegły do prawej ręki Tannera.

- Boże! On ma bombę! - odezwał się człowiek z pistoletem. Tanner uśmiechnął się.

- Zamknij się i słuchaj! - powiedział. - Albo może zastrzel mnie i powędrujemy

wszyscy razem do nieba. Próbowałem dostać się do telefonu. Skrzynka na bagażniku mojego motocykla jest pełna antyserum Haffikiny. Przywiozłem ją z L.A.

- Nie przejechałeś Alei na tym motocyklu!

- Nie, nie przejechałem. Mój samochód leży rozwalony gdzieś między Bostonem a Albany, tak samo zresztą jak kupa ludzi, którzy próbowali mnie zatrzymać. Bierzcie lepiej szybko te lekarstwa i wieście je gdzie trzeba.

- Nie bujasz. Mister?

- Ręka mi się szybko meczy. Nie czuje się najlepiej. - Tanner oparł się o motocykl. - Proszę. Wyciągnął z kieszeni kurtki swe ułaskawienie i wręczył je policjantowi trzymającemu kajdanki.

- To jest moje ułaskawienie - powiedział. - Zostało jak widzisz wystawione w Kalifornii. Mężczyzna wziął kopertę, otworzył ją i wyciągnął dokument. Studiował go przez chwilę.

- Wygląda na autentyczny - powiedział w końcu. - A więc Brady przejechał...

- On nie żyje - przerwał mu Tanner. - Słuchaj, jestem ranny. Róbcie coś!

- O Boże! Trzymaj to mocno! Włóż do samochodu i siedź! My tylko chwileczkę... Zaraz przeniesiemy skrzynkę do wozu i ruszamy. Dojedziemy do rzeki i będziesz mógł wrzucić do niej to świństwo. Ściśnij mocno.

Zdjęli szybko skrzynkę z motocykla i umieścili ją ostrożnie w bagażniku samochodu. Tanner siedział obok kierowcy, wystawiwszy rękę z granatem przez opuszczoną szybę.

Zawyła syrena wozu policyjnego i rękę Tannera, od nadgarstka po ramię, przeszył ostry ból. Tak łatwo było po prostu puścić.

- Gdzie trzymacie tę swoją rzekę? - jęknął.

- To kawałek. Zaraz tam będziemy.

- Spieszcie się. - Głos mu się łamał.

- Wytrzymaj! Niedaleko jest most. Wjedziemy na niego i wyrzucisz granat do rzeki jak będziesz mógł najdalej.

- Człowieku, jestem zmęczony! Nie wiem, czy dam rade...

-Szybciej, Jeny!

- Przecież jadę szybko, do cholery! Nie mamy skrzydeł.

- Kred mi się w głowie...

Samochód wpadł na most i zatrzymał się z piskiem opon. Tanner wolno otworzył drzwiczki. Te od strony kierowcy zamknęły się już z trzaskiem. Zachwiał się. Mężczyźni pomogli mu dojść do barierki. Uczepił się jej kurczowo, gdy go puścili.

- Nie myślałem...

Wyprostował się, wziął zamach i cisnął granat daleko przed siebie.

Uśmiechnął się. Gdzieś pod mostem dał się słyszeć wybuch i woda w tym miejscu zakotłowała się.

Dwaj policjanci odetchnęli z ulgą, a Tanner zachichotał.

-Czuje się całkiem dobrze - powiedział normalnym głosem. - Chciałem was tylko nastraszyć.

- Dlaczego...

Upadł. W snopach światła, rzucanych przez reflektory ujrzeli błądź jego twarzy.

XIX

Następnej wiosny, w dniu odsłonięcia pomnika Czarta Tannera we Wspólnocie Bostońskiej odkryto, że ktoś wydrapał na cokole nieprzyzwoite słowa. Nikomu nie przyszło do głowy, aby spytać oczywistego sprawcę, dlaczego to uczynił, a następnego dnia było już za późno, gdyż wyjechał on w niewiadomym kierunku, nie pozostawiając adresu. Tego też dnia zameldowano o kradzieży kilku samochodów, a jednego z nich nigdy już w Bostonie nie oglądano.

Odsłonięta wiec pomnik, na którym Tanner, większy niż ten żywy, siedział okrakiem na Harleyu z brązu. Wyczyszczono cokół dla spodziewanych przyszłych pokoleń. Nadlatujące nad Wspólnotę wiatry ciągle szalały wokół niego, a niebiosy ciągle zrzucały śmiecie.

KONIEC